



ROK LVIII

NR 27

MISŁO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 4 LIPCA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Cecylja Niewiadomska jako nauczycielka—*I. M.* O prawo wyczasów i.. nasza podróżomanja—*C. Walewska.* Oceny szkolne—*K. S.* Działaczki okresu konspiracyjnego (c. d.)—*Helena Ceysingerówna.* Świat Kobiety (część II) c. d—*Marja Grossek-Korycka.* Dwadzieścia pięć — jednaście (romans)—*Marja Jehanne Wielopolska.* Idylla na Arktyku (c. d.)—*Juljusz Wirski.* Zatrzymany zegar (powieść) c. d.—*Wanda Młaszewska.* Piękna Pamela c. d.—*K Bielańska.* Kobieta w świecie i w domu—*Z B.* Z książek—*M. Dąbrowska.* Z teatrów—*p.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Elegancki żakiecik szydełkowy Lato..—*W.* Higiena dziecka. Woda w ogrodzie—*Stan. Schönfeld.* Jakie zapasy spiżarniane można sobie ususzyć latem?—*Pani Elżbieta.* Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta.* Korespondencje działu praktycznego. Nadesłane do Redakcji. Komunikat Biura Prasowego dla spraw kobiecych. Dodatek powieściowy „Okrety, które płyną wśród nocy (c. d.)—*Beatrix Harraden.* ARKUSZ WZORÓW.

## CECYLJA NIEWIADOMSKA JAKO NAUCZYCIELKA

(Wspomnienia uczennicy).



yla w Niej powaga i prostota dostojnej duszy i ofiarnego życia... Miałam lat jedenaście, gdy jako dziecko wrażliwe, wątłe i rozpieszczone miłością Rodziców, nie nadając się do nauki szkolnej w atmosferze ostatniego dziesiątka ubiegłego stulecia, zostałam uczennicą p. Cecylji Niewiadomskiej, w komplecie rówieśnic moich.

Wyrósłszy w środowisku zamożnym, przywykłam do obcowania z ludźmi eleganckimi, o wytwornych formach i strannie pielęgnowanej powierzchowności, to też przez kontrast uderzyła mnie odrazu i zainteresowała od pierwszego spotkania p. Cecylja, czarno i bez najmniejszej dbałości o upiększenie swej osoby odziana, z gładko przyczesanymi, ciemnymi włosami nad odsłoniętym czołem, z pod którego patrzyły spokojnie i poważnie piwne, rozumne oczy.

Od najmłodszych lat wychowywana przez bony, czy guwernantki, młode Francuzki, zamiłowane w fatalaskach, przeważnie bez wyższych kwalifikacyj pedagogicznych, wyczułam od razu w p. Niewiadomskiej nieznan mi typ nauczycielki o wielkiem sercu i mocnym charakterze, o świątłym umyśle, zdolnym ogarniać życie szeroko i przeżywać je do głębi.

Zawdzięczając Ojcu już wówczas pewną znajomość arcydzieł naszej literatury, które odczytywał dzieciom, zebranych wieczorem w przestronnym, jasno oświetlonym gabinecie, rozbudzając w nas własne zamiłowanie do rzeczy ojczystych—miałam w sobie grunt, przygotowany pod zasiew ziarn wielkich idei i zdolność odczuwania piękna bohaterskich czynów. To też p. Cecylja, jako nauczycielka języka polskiego i historii w naszym komplecie, poczęła oddziaływać na mnie wszechwładnie, nie tylko już odrębnością swej indywidualności kobiecej, ale i przedmiotem prowadzonych lekcji. Jako literatka, czująca magiczny czar słowa, drgająca wzruszeniem i przejmująca się do łez treścią utworów odczytywanych na lekcjach, p. Cecylja działała bezpośrednio tem uczuciem na wszystkie uczennice, rozbudzając we wrażliwszych i głębszych naturach przemożny głos uczucia narodowego i głębokie współczucie dla nędz społecznych. Tak przedewszystkiem rozwijała w nas i kształciła stronę uczuciową; poczucie obywatelskie i sumienie społeczne.

D. 24 X. 1892 r. wpisała mi do sztambuchu słowa pod tym względem znamienne:

„Kaźda myśl poważna, jaka w twej duszy powstaje, jest objawem jej przebudzenia, nie kaźda jednak dusza budzi się zupełnie, a wiele po chwilowem, krótkiem przebudzeniu zapada w sen głęboki, który



6 437/725



trwa do końca życia. Czy ty będziesz duszą zbudzoną, świadomą swoich czynów, praw i obowiązków, zdolną je poznać, zrozumieć i pełnić samodzielnie i wytrwale?

Życzę ci tego i szczęśliwą będę, jeżeli praca moja, chociaż w małej części przyczyni się do ułatwienia ci tego zadania, gdyż wówczas tylko człowiek staje się istotnym, pożytecznym członkiem swego społeczeństwa, obywatelem kraju i jednostką, zasługującą na szacunek ogółu.

W tych kilku zdaniach mieści się założenie pedagogicznej działalności p. Niewiadomskiej: budzenie dusz i kształtowanie przyszłych, pożytecznych obywateli kraju.

Założenie to stawało się dla nas, uczenie p. Cecylji wyznaniem wiary i celem życiowym.

Ale od słów silniej i trwalej działają czyny.

W miarę dorastania, zżywając się głębiej z p. Cecylją i nawiązując z Nią osobiste stosunki poza lekcjami, miałyśmy sposobność przyjrzeć się Jej życiu, stwierdzającemu w czynach głoszone zasady. Ilekroć w godzinach popołudniowych zajrzało się na Kruczą № 5, zawsze zastało się niestrudzoną pracownicę czy to pochyloną nad rękopisem lub korektą, czy przyjmującą długi szereg działaczek, porozumiewających się w rozmaitych tajnych, pracach społecznych, czy wreszcie wybierającą się na posiedzenie lub do księgarni. Obdarzona wyjątkowo silną organizacją fizyczną i niezachwianem zdrowiem, wydatkowała siły bez miaru, pracując przez cały rok szkolny bez spoczynku od 7 godz. rano do 11-ej w nocy. Bywałam u Niej naówczas często, a nigdy nie zastałam Jej bezczynnie wyciągniętej na otomanie czy fotelu: zawsze przy pracy.

Był to przykład dla nas, dziewcząt zamożnych i wypieszczonych, imponujący i przemawiający przemożną oczywistością faktów. Nie było w tem życiu blagi ni pustych, pięknie brzmiących frazesów, słowo i czyn głosiło jedno: surowy i twardy obowiązek wypełniany po cichu i po prostu, bez pozy, bez gestu. Siłaczka.

Gdy, jako dorastająca dziewczyna, pełna sił i zapału, wyobrażałam sobie, że cały świat stoi przedemną otworem i różne rysują się drogi, że nadchodzi chwila wyboru: w tej przełomowej chwili krystalizacji indywidualnej, zwracałam się nieraz do p. Cecylji po uświadomienie mojego istotnego „ja”, po radę i kierunek. I pamiętam słowa Jej: „droga życia jest krzyżową drogą i każdy krzyż dźwigać musi, kto chce coś odkupić, coś osiągnąć”.

Budziła w nas nietylko poryw ofiarny—słowem Nauczycielki, ale przykładem własnego życia uczyła wyrabiać moc wewnętrzną, twardy, zacięty i zdecydowany upór w dążeniu do celu na wybranej drodze.

Skończył się okres kompletów, rozsypało się po świecie grono rówieśnic, różnemi idąc drogami. Inne środowiska, inni ludzie, inne wpływy kształto-

wały odtąd nasze dusze i życie. Jednak mimo czasu i oddalenia wpływ p. Cecylji pozostawił niezatarte piętno na naszych indywidualnościach i na kierunku życia. Wrył w sercach słowo: „Polska”, w sumieniach „Prawda” i „Praca”.

Gdy po studjach uniwersyteckich w Krakowie i w Paryżu powróciłam do Warszawy, poznaniem i przeżyciem innych typów życia i ludzi bogatsza, nie byłam już intelektualnie odbiciem p. Cecylji, ale w stosunku moralnym do życia pozostałam niezmieniona. To też zawiązała się przyjaźń, jedna z tych dziwnych przyjaźni, łączących ludzi dorosłych, spotykałyśmy się dość rzadko, ale jak trafnie określiła p. de Staël: „pour continuer la phrase interrompue”. Po długich odstępach czasu spotykałyśmy się z poczuciem takiej bliskości, jakgdybyśmy rozstały się były wczoraj.

Przyszła wielka wojna. Odcięła p. Cecylję od Warszawy na kuracji w Solcu. Po Jej powrocie intensywna praca moja w szkolnictwie i przeżycia rodzinne, z wojną związane nie pozwalały na częste spotkania.

Potem p. Niewiadomską, znów odciętą w Nowogródku podczas okupacji niemieckiej, losy poniosły aż do Kijowa.

Jedna z młodych, wybitnych nauczycielek naszych, która poznała Ją tam w 1915 r., jako organizatorkę kompletów dzieci polskich w wieku szkolnym, a potem na stanowisku kierowniczkii 8-io klasowego gimnazjum Macierzy Polskiej, pisze do mnie o Niej: „Trudno wypowiedzieć, jak wiele czci dla Jej serca i rozumu pozostało w pamięci tych wszystkich, którzy się tam z Nią zetknęli”.

O pracy swojej i życiu w Kijowie opowiadała mi p. Cecylja po powrocie do Warszawy z głębokim wzruszeniem i zwykłą, cechującą Ją skromnością, usuwając się w cień, na plan pierwszy wystawiając charakterystykę wypadków, warunków i ludzi.

W ostatnich trzech latach widziałam p. wiadomską parokrotnie tylko. Zbyt głęboko i wszechstronnie Ją znałam i zbyt żywo odczuwałam nieśczęsne przeżycia ostatnich lat Jej życia, abym mogła przewyciężyć milczenie. Od pierwszej chwili wiedziałam, znając Jej uczciwość — że na schyłku życia — cios taki — zabić musi. Zbyt szczerze żyłyśmy z sobą, aby milczeć — zbyt były bolesne i nigdy nie zagojone rany, aby móc mówić. Wiedziałyśmy o sobie przez osoby trzecie.

Dopiero w roku zeszłym, gdy zdeklarowała się śmiertelna Jej choroba, poszłam Ją odwiedzić, aby powiedzieć, czem była dla mnie. Zastałam wątłą staruszkę, do niepoznania zmienioną, o złamanym, drżącym, starczym dygocie w głosie. Gdy powiedziałam Jej, czem mi w życiu była: „Dziwna rzecz, tylu ludzi mi to teraz mówi, a ja nie wiedziałam, że tak było”.

Nie zdawała sobie sprawy naówczas, jak i do ostatnich chwil życia, z beznadziejnego stanu zdrowia „Chciałabym żyć jeszcze lat parę, aby dokończyć rozpoczęte prace. A Wy, które podałyście



myśl przewodnią życia mego, krzewcie ją nadal w pracy Waszej“.

Na kilka tygodni przed skonem, w ostatnim Jej, własnym mieszkaniu na Górnośląskiej, do którego tak tęskniła po powrocie z Kijowa, widziałam Ją po raz ostatni w łóżku, z którego nie miała już powstać. „I powiedz, co się ze mnie zrobiło, taka zdrowa osoba“ szedł szept tak cichy, że ledwie słyszalny...

W dolnym kościele Świętego Krzyża zegnały p. Cecylję liczne rzesze ludzkie; na cmentarzu — najbliżsi. Nikt nie zabrał głosu nad grobem, choć każdy mógł powiedzieć: „Oto odszedł od nas człowiek niezwykle, który kochał, pracował i cierpiał nad powszednią miarę“. Ale nad tą mogiłą zamierały słowa. Uczcić Ją mogło godnie — wymowniej od słów — milczenie.

I. M.

## O PRAWO WYWCZASÓW I... NASZA PODRÓŻOMANJA



rawo do wypoczynku przysługuje wszystkim — bez względu na rodzaj zajęć i tam tylko może być mowa o najwyższym stopniu kultury, gdzie niema rąk i niema mózgow roboczych, któreby raz na rok przynajmniej nie zaznały rozkoszy swobody.

Tęsknota za wolnością jest jedna, różna tylko skala i napięcie porywu. Czasami zrywa się, jak orkan i wpędza na bezdroża. Niekiedy — zatajona w mistycznych wirydarzach podświadomości — tłoczy pierś, ssie mózg — wampir nieznany, nienazwany. Chwila, przypadek daje mu imię, odsłania tajemnicę. Chwila, która dla miliona istnień ludzkich nie przychodzi nigdy.

Wykołysać pragnienie słońca i tchu wolnej przestrzeni w każdej duszy, zapewnić maj listopadowej nocy wyrobniczego życia...

Jeżeli probierzem kultury narodów jest organizacja i wydajność ich pracy, to stokroć większą jej miarą są sposoby i rodzaje wczasów.

Praca dźwiga świat. Gdyby jednak zsumować wyniki wypoczynku tych bujnych umysłów, które na swobodzie snują nic jej, ale taką odmienną, bo nie z twardego musu, nie z jarzma konieczności, lecz z własnych umiłowañ zrodzoną, okazałoby się, że biją od niej tęcze, strzelają w górę wieżyce, z których schodzi cud — zjawa dusz boskich.

Spinoza — szlifierz zawodowy kamieni, Beaumarchais — zegarmistrz, Mickiewicz — nauczyciel łaciny, Słowacki — aplikant komisji skarbu, Schiller — chirurg pułkowy... To była ich praca na chleb, praca — bez której szczyłby ten subtelny, zdumiewający mechanizm, jakim jest ciało człowieka...

Rozleciały się po świecie bez śladu drogocenne szkła nieśmiertelnego szlifierza. Robotę jego podjęły miliony następców. Uczą łaciny, aplikują w komisjach, fabrykują zegarki, operują chorych zwykli i niezwykli, pospolici i nadzwyczajni, może nawet niekiedy genjalni w swoich poczynaniach nauczyciele, prawnicy, chirurdzy. Ale praca ich —

to mrówcze zabiegi, niezbędne w budowie organizmów społecznych, a wyczasy są — pokrzepieniem zmordowanych ciał i umysłów.

Wyczasy genjuszy — to jak gotyk strzelisty.

Suchy biuralista, dla którego nic zdaje się nie istnieć poza rygiem służbowym, zdumiewa skarba mi sztuki, które gromadzi w każdej wolnej chwili i za każdy grosz wypracowany.

Tak objawia się w nim prometejska tęsknota. Z takich cichych, szarych wzlotów powstają szlaki kultury, bogactwo narodów — cenne muzea, biblioteki, archiwa...

Są ludzie — numery z zatraconą w huku maszyn duszą. Czternaście godzin kieratu, sen kamienny, trochę lichej strawy, zapicie robaka w święto...

Skrócony dzień pracy da ludzkości nowego człowieka. Zaszumią skrzydła zduszonej myśli. Czuj — duch wiecznej tęsknoty trafi pod strzechy.

Jeżeli dziś tylko garstka wybranych buduje „bezczywnością“ swoich wczasów gmachy kultury, to kiedyś staną w szeregach wszyscy. Zbraknie tych tylko, co w pałacu, czy w kuźni roboczej — są jak poczwarki w kokonach z mózgami, unurzaniem w grzęzawiskach dnia powszedniego.

Do porządku przechodzi życie nad nimi..

\* \* \*

Refleksje powyższe nasunęło mi lato — pora wyjazdów.

Szukają ludzie zmiany — choćby w gorszych warunkach, choćby zdała od zwykłych wygod domowych — byleby był inny rytm, inne tempo życia. Szukają przede wszystkim ci z miasta. Gonią za powietrzem, słońcem, zapachem łąk, szumem pól, ciszą łąsu — skupioną, jak modlitwa.

Jedni chcą uciec od siebie. Inni — wrócić, odnaleźć siebie.

Czy przyjdzie maj dla wszystkich? Czy wybije godzina, kiedy każdy: nędzarz — inteligent i nędzarz — wyrobnik będzie mógł raz na rok upić się czarem swobody i odnaleźć w sobie jakieś zapomniane kąty



duży, zbudzone czasami kwiatem łąkowym, strugą leśną, żdźbłem trawy, a czasami szarą, w bezkres pędzącą chmurą?

\* \* \*

Czy my — nawet większość naszej inteligencji — umiemy odnajdywać siebie, wypoczywając? Czy — raczej — nie staramy się gubić siebie w jakimś zatraconym galopie wrażeń?..

Wojna z konieczności przerwała naszą pogoń letnią za nastrojami wśród obcych, nasze zielone karnawały, nasze masowe wyjazdy poza granice kraju, nasz pęd do międzynarodowych środowisk, naszą podróżomanję, rzadko kiedy w ruinie upragnionych, intelektualnych korzyści, — najczęściej — ot, tak sobie, żeby być, gdzie inni byli, żeby móc wyliczyć wraz z innymi najlepsze hotele, tingle, kina, restauracje, najwspanialsze magazyny Paryża, Wiednia, Rzymu, Wenecji. Wymienić trochę obrazów i rzeźb w galerjach, zachwycać się rozplanowaniem ogrodów i parków — to też należy do szyku.

Marzły w imię tego tysiące rodaków i rodaczek naszych zimą na „Smaragdowych“ i „Złoty“ Wybrzeżach Francji, nad ciemnymi kanałami Adryatyku, u stóp Alp południowych.

W kraju było słońce i — prawie wiosna letowa.

Ale — jakżeż po tylu latach uwięzi, kiedy trzymała nas w kleszczach wojna i nasza zła waluta, — nie pokazać się wreszcie na szerokim świecie?

Anglik podróżuje dla oszczędności, bo wszędzie wydaje mniej, aniżeli u siebie. Nareszcie i myśmy mogli powiedzieć to samo.

— Wyjeżdżamy, bo zagranicą taniej, niż u nas...

Ale — gdy wypiarze wielkobrytańscy szyk, wykwinł, paradę mają tylko dla siebie, nic sobie nie robiąc z obcych, — wynajdując najtańsze „petits trous“ we Francji, najprzystępniejsze, a przyzwoite hotele we Włoszech, Szwajcarii, Belgji, zamawiając je naprzód latami, nie dopuszczając do nich nawet krajowców, my — przeciwnie — u siebie potrafimy się kurczyć, ale obcy niech wiedzą, co to szlachcic polski. Sypiemy pieniędzmi, które miało się niby oszczędzić...

Za złoto, które wypłynęło zimą z kraju naszego możnaby wybudować kilka wielkich okrętów i wystawić kamienicę dla wszystkich bezdomnych.

Czy intelekt odnosi jakie korzyści?

Dosyć posłuchać rozmów tych, którzy wrócili. Narzekają na zimno, burze, na to, że jednak — mimo korzystnej zmiany naszych pieniędzy — wydało się o wiele więcej, aniżeli było w projekcie. Toalety?... W Paryżu można mieć je za bezcen, ale — o ile się

zna midinetki, spuszczone wszystkie pierwszorzędne „occasions“ o 50% taniej, aniżeli w sklepach. Teatry, koncerty — zapewne, tego dużo na każdym. Ale czy brak ich u nas?

Nie zdarzyło mi się spotkać człowieka, który byłby zadowolony z tegorocznego, zimowego pobytu na południu.

Premjer, wysoką ceną letnich, zagranicznych paszportów powstrzyma (prawdopodobnie) pewną, niewielką falę podróżnych naszych. Ale zostaną niewątpliwie ci, co poza krajem szukają nie najmodniejszych dancinów z najkrzykliwszymi jazzbandami, nie pięknych toalet i tchnienia wielkiego świata, lecz ci, co wywcześnie swoimi dźwigają kulturę. Nawet nie olbrzymy — zwykle mrówki robocze, ale które, odrywając głowę od jarzma, jeszcze umieją patrzeć wzwyż.

Zabiegi lecznicze znajdzie każdy chory Polak we własnym kraju. Niema rodzaju wód mineralnych, solanek, borowiny, których nie posiadalibyśmy u siebie

Znany w swoim czasie balneolog, profesor dr. Stanisław Zaleski, członek Akademii Uczonych w Petersburgu, wysyłany kilkakrotnie przez rząd rosyjski dla badania wszechświatowych źródeł leczniczych, w sprawozdaniach swoich podnosił niebywałą wartość źródeł Inowrocławskich, które — zdaniem jego — nie dają się porównać w znaczeniu terapeutycznym z żadnymi innymi tego rodzaju zagranicą.

Mamy skarby w ziemi naszej, których jeszcze sami ocenić nie umiemy. Kiedyś staną się Golconda kraju.

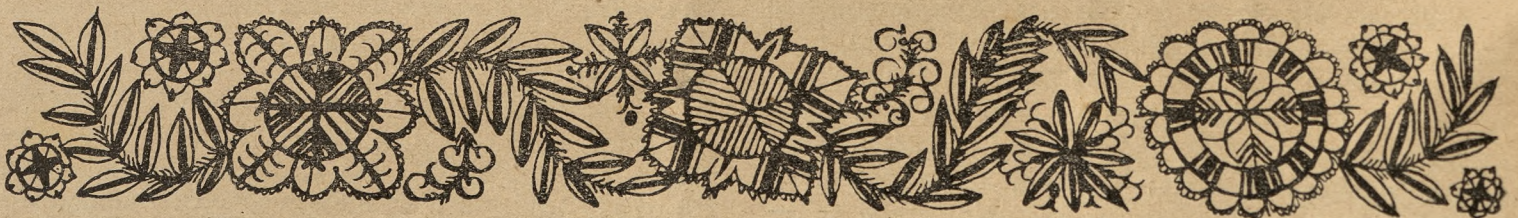
Chory więc ma się gdzie leczyć w Polsce. Gorsza organizacja, mniej wygody, drożej, ale — jest wszystko.

Nie nakarmi, nie podniesie, nie ożywi natomiast Polska głodnego intelektu. Dziesiątki lat miną, zanim kultura nasza dojdzie do poziomu kultury najwybitniejszych środowisk Europy i Ameryki. Uczeni, artyści, literaci, pedagogzy, wybitni zawodowcy i społecznicy muszą dokształcać się przy obcych warsztatach, żeby dźwigać swoje własne. Wywczaszy tych ludzi — to kamienie węgielne pod fundamenty gmachów, które buduje odrodzona Polska. Nie utrudniać, ale otwierać drzwi naścieżaj!

Nie podróżują dla mody, ani dla szyku, ani — żeby sypać nazwy dancinów i hoteli.

Więc — niech wyjeżdżają. Oby tylko zawsze wracali.

C. Walewska.





# OCENY SZKOLNE

Koniec roku szkolnego jest okresem pełnym emocji dla wielu. Zują w strachu uczniowie, niepokoją się rodzice, denerwują nauczyciele.

Ludzie, stojący poza kręgiem tych interesów, mogliby słusznie powiedzieć, że robi się tu „wiele hałasu o nic“. Boć przecież nie samo świadectwo, ale istotny postęp w nauce i wychowaniu powinien być jedynym celem młodzieży, rodziców i szkoły.

Oceny jako środek pedagogiczny mają swoich przyjaciół i zaciętych wrogów. Jedni myślą tylko o ich zaletach, drudzy wyłącznie o wadach. Fachowcy umiarkowani widzą dobre i złe strony.

W każdym razie nie wymyślono dotychczas niczego innego, coby je mogło zastąpić. Mam na myśli szkoły w naszych warunkach — a więc z wielką ilością uczniów w klasie. Bo że we wzorowych internatach, rozporządzających najlepszymi urządzeniami i środkami szkolnymi, a przede wszystkim ciągłą i bezpośrednią współpracą ucznia z nauczycielem można się obejść bez not i cenzur, to powszechnie już wiadomo.

Ale jakimi środkami pobudzić ambicję, pilność i wytrwałość, jak osiągnąć ciągłość w pracy i jej kontrolę, gdy w klasie jest 40—50 uczniów, gdy nauczyciel gonić musi z klasy do klasy, z lekcji na na lekcję?

Pisze się o tem i dyskutuje od wielu lat, a nie zanosi się wcale na to, aby w bliskim czasie można się było spodziewać zmiany tego systemu.

Stopnie mają swe złe i dobre strony. Mogą służyć do pobudzenia ambicji, ale także do rozwinięcia nadmiernej próżności, mogą przyczynić się do rozwoju pilności, ale także wywołać niepotrzebne przepracowanie, mogą być środkiem kontroli, ale też narzędziem nadużyć.

Tak, czy owak — stopnie nie mogą i nie powinny być niczem więcej, jak środkiem, nigdy zaś celem samym w sobie. I w tem tkwi całe nieporozumienie między szkołą i społeczeństwem.

Kto zna z bliska stosunki szkolne, kto obserwuje rok rocznie w okresie stawiania ocen rocznych powtarzające się sceny targów o stopnie, lamentów, prośb, gróźb i t. p. — ten za każdym razem głęboko zastanowić się musi: czy rodzicom

naprawdę chodzi o wykształcenie dzieci?

Bardzo wielu rodziców nie zjawia się jak rok długi na konferencjach wywiadowczych, nie utrzymuje żadnego kontaktu ze szkołą. A ci, którzy przychodzą, mają jedną jedyną troskę: wyprosić, wyperswadować, wymusić dobre stopnie. Jakże charakterystyczne, jak typowe są rozmowy, które wówczas się toczą. Ma się wrażenie, że rodzicom specjalnie zależy na tem aby dzieci jak najmniej umiały, byleby tylko miały dobre stopnie.

Każde uchybienie, zaniedbanie, zły postęp czy postępek, lenistwo, niedbalstwo i t. p. jest brane w obronę wbrew własnemu przekonaniu, usprawiedliwane wykrętami, w które samemu się nie wierzy. Każde dziecko — wedle ich relacji — zawsze wszystko świetnie umie, tylko lęka się profesora i dlatego źle odpowiada. Profesor zaś każdy uprzedził się, uwziął, coś sobie upatrzył i niewiadomo dlaczego prześladuje. Jeśli dziecko opuściło lekcję, to tylko dlatego, że było chore (choć było najzdrowsze!) W ich ustach dzieci nie są nigdy winne, bez zarzutu, nieszczęśliwe ofiary losu i nauczycieli.

Zamiast zbliżyć się do nauczycieli, zamiast szukać porozumienia w sprawach nauki i wychowania, radzić wspólnie nad sposobami usunięcia braków w jednym i drugim kierunku, rodzice w jakimś dziwnym omamieniu wyęteżają wszystkie siły, aby tylko pokryć wszystko, zmylić profesorów, przemycić braki i błędy. W ten sposób konferencje pedagogiczne stają się raczej trybunałami sądowymi, w których dzieci są oskarżonymi, nauczyciele — prokuratorami, a adwokatami rodzice.

Jedna z matek n. p. powiada tak: „Pan profesor tak świetnie uczy, że on (t.zn. jej syn, a uczeń danego profesora) pomaga nawet braciom z wyższych klas. Czy wobec tego może mieć dwójkę?“

Albo do innego profesora mówi jakiś ojciec, grożąc: „Zwracam panu uwagę, że jeśli mój syn dostanie dwójkę, to popelni samobójstwo“(!)

Komentarze są zbyteczne!

Wprost wierzyć się nie chce, do jakich anomalij i potworności doszliśmy w tym kierunku. Jest to jeszcze jeden z objawów zepsucia powojennego. Pogoń za łatwym życiem i za tandetą. Ludzie chcieliby mieć wszystko tanim kosztem, nic nie robiąc. Stąd to ciągle wymiganie się, obchodzenie, wykręcanie.

Czy rodzice nie zdają sobie sprawy z tego, że kierując swoje dzieci na tę drogę błagi i nieuczciwa, oddają im najgorszą przysługę?

Dobre stopnie wymuszone, czy wyproszone, nie mają żadnej wartości. Ze świadectwami papierowymi niedaleko człowiek zajdzie. Jedyne wartościowe i trwałe świadectwem, rekomendującym człowieka zawsze i wszędzie — jest istotnie zdobyta wiedza, rzetelność i sprawność w pracy.

Jest to prawda tak jasna i prosta, że wcale jej dowodzić nie trzeba. Co więcej — jestem przekonana, że większość rodziców przyzna mi w tem rację.

Czemże się więc dzieje, że ci sami rodzice w praktyce postępują inaczej?

Nietrudno znaleźć odpowiedź. Między teorię, a praktykę wciska się tu, jak wszędzie, cały szereg czynników takich, jak: złe zrozumiany utylitaryzm, niedbalstwo, lenistwo, brak wytrwałości — wszystko to, co nosi sumaryczną nazwę: słabości charakteru.

Wychowanie i wykształcenie dziecka należy do zadań trudnych. Trzeba się napracować, trzeba wiele poświęcić.

Niech się rodzice nie łudzą, że szkoła może ich w zupełności od tego ciężkiego obowiązku uwolnić. Szkoła może tylko część tych zadań spełnić i to tylko wtedy, gdy dom naprawdę z nią współpracuje.

Zamiast lękać się o wyniki klasyfikacji, zamiast zabiegać, prosić, używać protekcji — czyż nie byłoby o wiele lepiej, skuteczniej i pożyteczniej — przez cały rok czuwać nad nauką? Dopilnować, aby dzieci regularnie chodziły do szkoły, systematycznie odrabiałały zadania, przygotowywały się z lekcji na lekcję. Do nauczycieli przychodzić nie po dobre stopnie tylko, ale po radę i wskazówki i z gotowością do pomocy ze swojej strony.

Nie należy sobie wyobrażać, że do tego konieczne są jakieś fachowe, czy też naukowe kwalifikacje. Rodzice z najskromniejszym wy-





kształceniem mogą doskonale się z tego wywiązać. Wszak nie chodzi tu o pomoc w nauce. Nauka szkolna zupełnie wystarcza. Chodzi o opiekę, chodzi o dopilnowanie, aby dzieci nie zioniedbały się

w pracy. Bo tylko wtedy i z tego powodu powstaje konieczność pomocy czyli korepetycji.

Gdyby wszystkie dzieci miały dostateczną i wytrwałą opiekę w nauce domowej — korepetycje zni-

łyby z powierzchni świata. I znikłyby wszystkie utrapienia klasyfikacyjne. Trochę dobrej i silnej woli! — i dużo wytrwałości — a korzyści stąd płynące byłyby wprost nieobliczalne! K. S.

## DZIAŁACZKI OKRESU KONSPIRACYJNEGO

Oczywiście w ciągu szeregu lat przesunęło się przez organizacyjne ramy tego Koła znacznie więcej postaci. Tu wspominam te, które poznałam w pierwszych miesiącach po wstąpieniu do organizacji. Z wybitniejszych członkiń, nieobecne były wtedy, bo na wygnaniu: Prażmowska — Wołowska Teresa i córka jej, Marja Dzierżanowska. Chwilowo nie brała także udziału w pracach Koła Śniegocka Cecylja. Na krótko przed moim wstąpieniem zmarła nagle poprzednia przewodnicząca Koła, Kasylda Kulikowska, jedna z najbardziej wyróżniających się inteligencją, wolą i odwagą postaci ówczesnego kobiecego świata.

Co robiło „Koło Kobiet Korony i Litwy?”

Już to samo, że zrzeszając się, omawiając na posiedzeniach swoich sprawy publiczne, czytając i rozpowszechniając pisma zakordonowe, wytwarzało pewien mocny i zwarty ośrodek opinii publicznej, było w owe czasy rzeczą niemałego znaczenia.

Bolesław Prus w „Emancypantkach” z lekka ośmieszał „Koło,” o którego istnieniu zasłyszał, ale którego pracy i dążeń dokładnie znać nie mógł.

Nie stanowiąc stronnictwa politycznego, Koło Kobiet stało bardzo silnie na gruncie irredenty polskiej, starając się w tym duchu wyrabiać nowo wstępujące członkinie. To też walka ideowa z tzw. „Ugodą,” czyli prądami, rezygnującami, chwilowo przynajmniej, z dążeń do niepodległości, a nawet z obrony przed wynarodowieniem, zajmowała w działalności „Koła” jedno z pierwszych miejsc. Prądy ugodowe, jak wiadomo, występowały wówczas we wszystkich trzech zaborach. W rosyjskim — reprezentował je głównie petersburski „Kraj.”

Z owego to czasu pochodzi pierwsza odezwa, jaką wydało „Koło Kobiet Korony i Litwy.”

Przytaczam ją tu w całości, ponieważ wątpię, by istniał jeszcze

gdziekolwiek drugi jej egzemplarz, a w każdym razie dla historii kobiet w Polsce stanowi ona dokument nie bez znaczenia:

„Stronnikom Ugody!

Gdy mówicie: „zginęła na zawsze,” gdy mówicie: „umarła i nie wstanie,” nie wiecie, jakim echem odbijają się słowa wasze w duszach kobiet waszego narodu? Czy myśli waszej nasuwa się wówczas pytanie: po której stronie staną one? Otóż, mówimy wam, my kobiety Korony, Litwy i Rusi, mówimy wam, że nie po waszej!

Spoglądamy w przeszłość i staję przed nami mitycznym nimbem owity cień Wandy i postać ofiarą Jadwigi i bohaterki Chrzanowskiej i tłumy branek tureckich, co w jaszyrze nie zapomniały Ojczyzny; jawi się przed nami Emilja Plater, anioł boju i Emilja Szczaniecka, anioł szpitali, ale zdrajczynie żadnej cień nie wstaje!

Otóż mówimy wam, my, których prababki dawały ojczyźnie krew i życie, których babki w stępy sybirskie szły za mężami i braćmi, mówimy wam, że nie pójdziemy z wami!

Na pamiętne nam mogiły bohaterów i męczenników przysięgamy, przysięgamy na katogę i szubienicę, na wielkie myśli wieszczów naszych i na kraju naszego ukochane obszary, że nie pójdziemy z wami o tron carski czołem uderyżyć, że ideałów wolności i niepodległości narodowej my się nie zaprzemy!

A nie bezsilne stajemy przeciw wam. Wam z katedr uniwersyteckich rzucić wolno wyrazy: „Finis Poloniae,” wy na usługi wasze macie karty, opieką rządu otoczonych dzienników, ale my mamy dusze dzieci naszych, a ziarn, które my tam rzucimy, wy wypełnić nie zdołacie.

I przyrzekamy wam, że inne, nie ogólnie państwowe cele postawimy synom naszym przed oczy, ku innym nauczymy ich wy-

ciągać ramiona młodzieńcze, ku innym wylać pragnieniami dusz dziecinnych. Przyrzekamy wam, że dzieci nasze nauczymy kochać ideały wolności i braterstwa, że nauczymy je wierzyć w przyszłość i życie narodu naszego. Pod powierzchnią wytworzonego przez was życia założymy Polskę katakumbową, w której łonie narodzi się przyszłość.

My, matki przyszłych pokoleń, obiecujemy wam, że ci, co przyjdą po was, będą silni i niezłomni, że śmierć bohaterską przenieść potrafią nad życie nikczemne, że z ciemności niewoli, ku jasnościom zwycięstwa podążą, a wzgardzie i nienawiści wieczystej wasze przekażą imiona!

I na te dzieci nasze przysięgamy, że nie powstrzyma nas, nie zniechęci i nie przerazi prześladowanie żadne, że z więzień i wygnania, w nędzy i niedoli — że żyć będziemy, czynem każdym, każdym słowem i myślą każdą protestować będziemy przeciw dążnościom waszym!

Kobiety z Korony, Litwy i Rusi.”

Odezwę tę z zapalem kolportowała dr. Ciszkiwiczowa po całej Warszawie, słała ją w odległe zakątki nad Niemen i Wilję, czytywała gościom swoim na licznych zebraniach niedzielnych w swoim salonie.

Odezwa ta, wpadająca jak błyskawica letnia, w głuchą ciszę owych czasów, zrobiła duże wrażenie.

Ale ani jej szczerość i uczuciowość, ani pewna naiwność tonu nie zdołały obronić jej przed zgołą niespodziewanemi insynuacjami. Pisma ugodowe zakordonowe, nazwały ją prowokacją, fabrykatem, za wrogie pieniądze wytworzonym... Tylko jedni twierdzili, że to pieniądze moskiewskie, inni, że austriackie...

Był to dla nas przedsmak tej gorczy, którą niosą ze sobą wszelkie walki partyjne.

(c. d. n.)

Helena Ceysingerówna



MARJA GROSSEK-KORYCKA

F E L J E T O N

## ŚWIAT KOBIECY

## CZĘŚĆ II.

## ŚWIEKRA I SYNOWA

(W przeszłości)

6

Och, och! znam ja takie święte! cichość... słodycz... — a nastąp ty jej raz jeden, niechący, na jakiś jej duchowy nagniotek... usta zatrzasną się, jak wieko trumny, w oczach stanie ściana lodowa — i będzie cicha, słodka, niczem nie-prześlągana, wieczna nienawiść! Dziękuj!... już ja wolę te po prostu ludzkie, które się gniewają — gniewliwość chodzi bardzo często w parze z dobrocią serca.

Tak — ale to się nic a nic nie stosuje do Basi Topolskiej! Obydwie, stara i młoda, to były typy bardzo szlachetne. — Która z nich winna? Być może obie niewinne winowajczynie były ofiarami tylko jakiegoś niezłomnego prawa, które zapala nienawiść, starą jak świat i jak świat powszechną, pomiędzy swiekra a synową...

Przypominam sobie, jak jedna z pionerek emancypacji w Polsce, kobieta fachowa, kobieta szalenie zajęta, która nie miała czasu na egzaltacje, zwierzała się kiedyś nam, przyjaciołom: „Ja już jej dziś nienawidzę! — mówiła — tę!... tę!... która kiedyś będzie żoną mego syna. Syn mój ma lat ośmnaście, więc żona dla niego już gdzieś na świecie musiała się urodzić... już rośnie, gdzieś tam dla niego. — Nie znam jej, oczywiście — nie wiem, kto i jaka będzie — ale niech sobie będzie najpiękniejsza, najbogatsza i najlepsza — wszystko mi jedno: ja, nie znając jej — już dziś ją z całej duszy nienawidzę! — bo ona przyjdzie odebrać mi moje dziecko.”

— Otóż to właśnie... dotknęliśmy dramatu matki — którego, dziwna rzecz, nie poruszyło jeszcze żadne pióro... A to jest dramat taki bezlitosny! Dla kobiety miłość jest żywiołem, jak powietrze dla ptaka i woda dla ryby... A czyż kobieta ma tę miłość tak, jak powinno się posiadać swój żywioł t. j. zawsze?! Miłość jest w życiu kobiety meteor — jest epizodem. Jeżeli ten „epizod“ pozostawi jej dziecko — serce zgłodniałe uczepi się tego dziecka jak tonący chwytając się ostatniej deski ocalenia... Uczucie macierzyńskie staje się czemś chorobliwie egzaltowanym, ekstatycznym! Zwłaszcza, gdy dziec-

kiem jest syn — bo wszystkie synowskie zadowolenia ambicji kompensują matkę za wszystkie jej upokorzenia, za całą nicość jej kobiecego życia.

A tu wybija godzina, kiedy ona musi tego syna oddać — kiedy go traci!...

Gdy córkę zabiera z domu obcy człowiek, jest to okropne rozdarcie, niepokój śmiertelny — bo to się oddaje gołębia w ręce ptasznika — ale serca córki się nie traci. Syn, który raz przeszedł w ręce żony — dla matki przepadł na zawsze. Ach, kimże jest ta matka w chwili, kiedy jej odbierają syna? Jest starą kobietą, dla której się wszystko skończyło! Jest zdezonizowaną królową, w nędzy... która posiadała ten jeden jedyny klejnot. To był skarb nędzarza, który mu został skonfiskowany...

Stara Topolska była dla synowej katem: stara Topolska był to człowiek ranny, który miota się i bredzi w gorączce od tej rany, jaką dostał w samo serce...

Kto gniewa się na żołnierza w szpitalu, gdy mu bez chloroformu gmerają w ranie... po grubjańsku wymyśla doktorom, kopie szarytki, bluźni Bogu... a na niego patrzą się tylko ze współczuciem...

Dużo się o tem mówi, że te dwa uczucia dla matki i dla żony są tak absolutnie różne, że między nimi nie może być rywalizacji i że mogą dlatego współistnieć. O tak! lampka elektryczna może świecić razem ze słońcem — tylko że jej wcale widać nawet nie będzie!

Czemże jest blade przywiązanie do matki w sercu dorosłego mężczyzny w porównaniu z tem uczuciem potężnym, jakie ma dla kobiety młodej, z którą żyje?!...

To boli: być drugą, kiedy się było pierwszą — Alboż to się będzie drugą?... W sercu syna drugie miejsce po żonie zajmie dziecko... Matka będzie wciąż ustępować, ustępować... zasuważąc się co raz dalej w cień planów ostatnich.

— No to i cóż? — starzy ustępują młodym — tak musi być.

— Ach, i śmierć musi być... ale na kogo przyjdzie kolej zetknąć się z nią osobiście... temu to nic nie pomoże, że rósł z myślą o niej...

będzie ona zawsze dla niego straszną niespodzianką — i wycierpi on swoje piekło...

Matki nie protestują przeciw temu, co musi być — tylko cierpią.

— To są dramaty papierowe!... to jest życie, podane w literackim sosie! Ludzie żenią się codzień — swiekrzy i synowe mieszkają pod jednym dachem — podrapią się trochę z początku, nim się do siebie nie przyzwyczają. A potem jest dobrze! No, nie bez tego, że od czasu do czasu wybuchają swary domowe. Straszne paskudztwo! ale mężczyzna: czapkę na głowę i w świat!... nie daje się kobietom histeryzować — jak ten biedny Józef.

— Dusze farsowe — uczucia farsowe — i życie przyjmuje formę farsy — Dramat wybucha tam, gdzie dusze stać na dramat.

— O, Świat Kobiecyl... podobny on jest do dziewiczych lasów brazylijskich: co za majestat, cisza wdzięk i kwiaty! — a co za mordercza walka toczy się skrytobójczo, milczkiem, podziemnie...

Na każdym kroku dusiciel i ofiara. Taka straszna walka toczy się w Świecie Kobiecym o serce.

— Agdzież jest to sławne, to powszechnie wielbione poświęcenie kobiece?

— Miłość wszystko poświęci dla miłości — lecz naturalnie, o prócz miłości...

— Wbrew powszechnej opinii ja jednak najwięcej winię młodą. Basia posiadała wszystkie skarby życia! Basia była tak niezmiernie szczęśliwa! Czemu były wobec takiej świętości losu te choćby nawet bardzo przykre przykrości, jakie musiała znosić od jego matki? niczem! To była kropla piołunu, rozpuszczona w morzu... To był niewinny haracz, który los dla niej życzliwy, kazał sobie płacić za jej olbrzymie posiadania.

Trzeba to było robić z lekkim sercem, wesoło! Ale ona był to ten bogacz, który się o grosz targował!... I o ten grosz poszedł z dymem cały jego majątek.

— Tak! — nie masz tak małego teatrzyku życia i takiej skromnej w nim roli, której by się niekiedy nie przydał heroizm. (c. d. n.)



MARJA - JEHANNE WIELOPOLSKA

## DWADZIEŚCIA PIĘĆ JEDENAŚCIE

(R o m a n s)

## ROZMOWA I.

— Hallo... Dwadzieścia pięć jedenaście? Tak? hallllooooo!

— Proszę. Jestem przy aparacie. Czemu mogę służyć?

— Kto?

— Wyobraźmy sobie, że nikt.

— (mmmm... trrrrdzyń. dzyń. dzyń).

— Niech pan sobie wyobrazi, że sam aparat dzwoni i mówi. Taki dziwny aparat, naładowany nieznaną siłą. Niema przy nim nikogo. Ja też to sobie wyobrażę. Pogawędzimy. Bezosobiście. Słowa nasze... czy pan słyszy?... zakreślą parabolę... fale powietrzne... pan słyszy?

— Niezupełnie. Pani rozumie, że jestem cokolwiek zaskoczony?

(mmmm... trrrrdzyń...)

— Ta malutka czarnolakerowana skrzynka dość ciekawych rzeczy słyszała, dość naprzenosiła zdarzeń niezwykłych, ciekawszych stokrotnie od przeżyć naszych i dość wiadomości tragicznych rozszerzyła, epicznych, radosnych, świątoburczych, finansowych, politycznych!!! Pana to nie wzrusza w niej?

— Nie. (Po chwili bez szczególnego entuzjazmu): Panią zajmują sprawy finansowe i polityczne?

(uśmiech daleki)

— Nie bardzo.

— Więc skąd twierdzenie, że te głupie aparaty, będące utrapieniem człowieka samotnego, wiedzą rzeczy ciekawsze od naszych przeżyć własnych? Wogóle jakież przeżycie może być ciekawsze od mego własnego przeżycia! Czy pani sądzi naiwnie, że jest coś wogóle w zdarzeniach ogólnoswiatowych, czy czyichś prywatnych, w czym nie szukalibyśmy siebie samych wyłącznie? Czy pani nie sądzi raczej, że nas wzrusza tylko reminiscencja, analogja — nic więcej?

— Nie sądzę. Niema analogji. Każde zjawisko jest totalnie niespodziane i nowe. Nikt nigdy tego nie przeżył, co ja, co pan. Wszystko jest w formie, czy w treści, czy w szczególności, unikatem. Z kolei pytam, czy pan nie sądzi że najtrudniejszy nasz gest, najniklejsze nasze pomyślenie, jest... rewelacją?

— Pani ma słuszość, mądra i niezwykła pani. (Z ironją) Wściekle twórczymi jesteście... (Pauza).

— Nie pyta pan, dlaczego właśnie z panem połączyłam się na oślep telefonicznie? na łaskę losu?

— Nie pytam. (Znudzony). Nigdy wogóle nie pytam. Nie lubię ani wnioskowania, ani dedukcji, ani objaśnień. Odpowiedź przychodzi sama. Zresztą wiem, albo nie wiem i koniec.

— Bardzo uproszczony system. A w tym wypadku pan wie?

— Wiem.

— ... no?

— Ach, teraz pani pyta?

— Pytam. Lubie pytać. Zachłanie, żarliwie pytam. Między pytaniem, a odpowiedzią znajduje się taki nieodkryty punkt geograficzny, taki skrót czasu, czarowny, jedyny, dyszący — jakby motyli zatrzepotał nagle skrzydłami z weluru między dwojgiem ludzi, a od ich pośpiechu zależało, czy zginie. Ten motyl...

— (Znowu z ironją): Jednym słowem: do diabła z pytaniem i do stu diabłów z odpowiedzią! Fascynuje tylko to, co między pytaniem, a odpowiedzią leży. O pani! Nieznana, niewątpliwie urocza pani! po cóż mam odpowiadać? Niechaj się o wiek cały ten skrót czasu, tyle pani drogi...

— Tak. Nie tykajmy motyla, który między mną a panem zawisł na skrzydłach z weluru. Niech pan nie odpowiada.

(trrrr. trrrr.)

## ROZMOWA II.

— Dwanaście pięć jedenaście? Tak?

— Tak. Dzień dobry pani, a właściwie: wieczór dobry, Nieznanej pani. Nie przypuszczałem, aby panią do tyle zadowolniła rozmowa ze mną i nie wierzyłem w jej dalszy ciąg. Dlaczego tak późno dzisiaj?

— Spóźniam się zawsze. Rozmówco niechętny. Całe moje życie to jedno wielkie spóźnienie.

Nawet urodziłam się ponoś o kilka lat później, niż to dla jakichś konstelacji potrzebne było.

— Całe moje szczęście. że o tych... kilka lat... później!

— Dlaczego „całe szczęście“ Nie lubi pan kobiet — powiedzmy dojrzałych?

— Nie lubię. Niema kobiet dojrzałych zresztą.

— Tiens!?

— Tylko są te przejrzałe i te nie-dojrzałe. O moje panie urocze! jesteście dwoma krańcami — alternatywą bezwzględną — beznadziejnym zjawiskiem, nieznającym umiaru, a jeśli się zdarzy umiar, wyjątek w regule, to lepiej, żeby go nie było!

— ...bo?

— Bo jest nudny. Umiar jest zawsze nudny.

— Czy ja jestem... tak bardzo nudna?

(Chwila milczenia)

— Myślę, że nie. Ale też o umiarze nie może pani mówić. Kobieta, która...

— (wpadając w słowa) aha! która atakuje telefonicznie nieznaną nawet z nazwiska mężczyzn...

— (Nagle zainteresowany z komiczną rozpaczą) Jakto? na miły Bóg! czyżbym był w liczbie mnogiej...?!

(Dzwoni w słuchawce leciutki śmiech)

— Muszę przedewszystkiem za protokołować, że pan przecież pytał!

— To nie pytanie było, znawcy serc ludzkich! To był okrzyk, no... *lâchons le mot...* okrzyk zniechęcenia.

— (Z kolei z komiczną rozpaczą). Już zniechęcenie...!?!?

(Pauza).

Zawsze chcecie być wyróżniani, w życiu, w pożyciu, w współżyciu?

— (wpada w słowa)... w telefonie nawet? Chcemy. (Szablonowo). Nie lubimy ciżby, my królowie stworzenia.

— (Tym samym tonem). Myślę, że chyba mowa o ciżbie mężczyzn, bo przeciw ciżbie kobiet nie macie nic zgoła.

— Wyjątko myli się pani. Nie znoszę kobiety zbiorowo. Nie chadzam dlatego na bale, na rauty. Miłe mi są ramiona piękne, piękne oczy, piękne usta, gdy są oderwane od zbiorowości, gdy są szczelnie w odosobnieniu zamknięte. Zbyt mnie niepokoi, gdy w tłumie dojrzę powtórzone ten gest, który mnie zaintrygował, czy oczarował, ten uśmiech, to podnoszenie brwi. Okrutne jest, że kobieta jest kobiecie takim nieświadomym zwierciadłem. Gonię w tłumie jakieś przesłiczne usta, o grymasie gorzkim, a drżącym, niemającym równego sobie i oto widzę raptem tuż obok równy jemu grymas, na



innych, na zupełnie brzydkich, na dotychczas niezauważonych nawet, na zupełnie pospolitych ustach i jeszcze dalej taki sam grymas i wciąż i wszędzie. Strasznie zaiste lustrem jest kobieta kobiecie i dlatego można ów haszysz tylko pojedynczemi dawkami wchłaniać. (Z westchnieniem). Niema piękna ekskluzywnego.

— Mówiliśmy przecież, że każde zjawisko jest totalnie niespodziewane i nowe...

— O wewnętrznych zjawiskach mówiliśmy, piękna pani.

(trrrr. trrrr. hallo).

### ROZMOWA III.

— Trrrr dzyn... dwadzieścia pięć jedenaście?

— Tak. Dwadzieścia pięć jedenaście. Mój Boże! gdyby tak z tej liczby, wciąż nas łączącej, wyciągnąć dla nas obojga kabalistyczny znak wróżebny? Czy panią liczbę nie niepokoją? Takie powtarzające się, nahalnie wżerające się bez żadnej logicznej przyczyny w nasze uszy, oczy, usta, i życie — wiążące jakieś niepowiązane zdarzenie nasze, znaczące jakieś bezbarwne dni...

(pauza)

— Ot naprzykład. Dlaczego pani zatrzymała się akurat na numerze „25.11” — sunąc bezmyślnie palcem po kartkach książki telefonicznej?

— O Rozmówco domyślny!!! To w ten sposób pan sobie wyobraża genezę mojej z nim telefonicznej znajomości!??

— Tak ją sobie wyobrażam. Proszę posłuchać: Oto osoba młoda... bo prawda, że młoda?

— ...dojrzała.

— Niema kobiet dojrzałych! już miałem zaszczyt to pani oświadczyć.

— Zgoda. Więc: (odpowiada) „oto kobieta niedojrzała“...

— (ze śmiechem) Oto kobieta niedojrzała, fantastyczna, znużona gwarem, zabawą, powodzeniem, nudziła się pewnego dnia. W bardzo powłóczyłem, koronkowem i crêpe de chinowem *saut de lit* (bo ja proszę pani nie znoszę pyjamy u kobiet!) chodziła po puszystych dywanach swojej willi od ściany do ściany...

— Byłaby się rozbiła o jedną z nich w zapale turystycznym! Nie chodziła! Ta kobieta niedojrzała nie chodziła!

— Dobrze. Leżała. Leży. Nudna książka. Papieros. Ciszka. Manicure. Może buldożek francuski na kołdrze z jedwabiu, lub może chow-chow. Napewno chow-chow. Upał,

mimo falującej, spuszczonej stopy. Zamiast coś u swego dostawcy, zamówić telefonicznie — bo ja wiem? perły? suknię balową? starlety? obrozę dla chow-chow? Telefon jest przy łóżku...

— Tak! zgadza się. Telefon przy łóżku.

— ...i potem, skończywszy nudne wyliczanie dostawcy, który się w pas kłania, zahipnotyzowany przed aparatem — zaczyna wodzić swoim ostro i różowo zakończonym paluszkiem po kartkach książki telefonicznej. „A gdyby tak“? przychodzi jej na myśl. Próbuje. Nawija się numer: „25.11“. Zatrzymuje jej uwagę — dlaczego właśnie on? — Pod tym numerem, nazwisko cokolwiek egzotyczne, moje nazwisko. Panie lubią egzotyczność... i.

— (zaintrygowana) Egzotyczne? Nic o tem nie wiem. Pod numerem „25.11“. muszę się przyznać panu, jest karta u mnie naddarta i właśnie dlatego, zdając się na ślepy los, uległam urokowi rzeczy nieznannej...

— Tak. !? Chow chow zjadł moje nieszczęsne nazwisko? (Z nagłą niewytłumaczoną radością) Och pani! Jakże za to panią uwielbiam!!

— (zdziwiona) Za co? Za to, że chow-chow zjadł najciekawszy okazuje się, skrawek mojej książki telefonicznej?

— Pani wie, że nie za to! Wstrząsnęło mną poprostu objawienie, iż o tyle, o ile silniejszą od moich przypuszczeń, jest magia liczby, która nas połączy! Ona jedna, ona sama, sama w sobie. Powtarzam: czy panią nie czarują liczby?

— Może coś niecoś. Więcej mnie wzrusza rzecz wszelka, która o atmosferycznych, od najnaturalniejszych zresztą wpływów zależy. Naprzykład: zegar słoneczny. Pan może przejść bez bicia serca ohok toczącego wolno swoje straszne skrzydła wiatru? lub obok tarczy, na której się wydłuża cień, znaczący niesamowitą, nieoznaczoną nigdzie godzinę? W ciemności, wydaje się, że taki wiatrak kraje czarną noc, na płaty, na olbrzymie, śmiertelne płaty, ginące na talerzu przepaści—

(pauza)



— Hallo... trrrr.. Ale imię swoje niech mi pan teraz powie. Nie nazwisko, a imię. Pozostańmy w sferze przypadkowości.

— Mam to imię wymówić, które zjadł pani chow-chow, czworonóg przezorny? Przerazi się pani mojego barbarzyńskiego imienia i zawiesi na dobre słuchawkę. Boję się. Może doprawdy lepiej uznać za rozstrzygającą decyzję chow-chowa...!?

— Chow-chow jest taki mały i niedoświadczony!

— Pozwoli pani tedy, że się przedstawię. Na imię mi: Suedi.

(Trrr. trrrdzyń... hallo)

— ...jak?

— Su...e...di! Imię u nas bardzo pospolite zresztą.

— Ach u nas? No to moje imię w takim razie będzie u was bardzo niepospolite. Nazywam się Ewa.

— (Z patosem) Istotnie niebywałe. Pani Ewo...

(Trrrrdzyń, trrr... halloballo...)

### ROZMOWA IV.

— Trrrrdwadzieścia pięć jedenaście. Tak. Tak nagle przerwała pani wczoraj rozmowę. Dlaczego?

— Ktoś wszedł i...

— (bez nacisku) Kobieta czy mężczyzna?

— Nie znam tu ani jednej kobiety.

(Pauza)

— Interesujący?

— (W zamyśleniu) Kto?

— Ten, co wszedł wczoraj?

— Dość interesujący.

— A dlaczego pani nie wznowiła ze mną rozmowy, skoro wyszedł ów pan „dość interesujący“?

— Była już zbyt późna godzina.

— (Z domieszką szyderstwa i irytacji) Tak późno... wyszedł!?

— Tak późno. Ale, ale, panie Suedi! Jakżeż się pan sprzeciwia swoim twardym zasadom! Pan ciągle indaguje ed jakiegoś czasu!!!

(Pauza)

— (z odcieniem jakby szorstkim) Możliwyby przemyśleć pewien problem, mianowicie o ile pożyte, że tak powiem telefoniczne, wpływa na charakter i zwyczaje danego osobnika.

— Tylko, że terminologia socjologiczna, która zna pożyte małżeńskie, rodzinne, towarzyskie, międzynarodowe, nie zna o ile mi wiadomo, pożycia telefonicznego.

(Pauza)

(c. d. n.)



J U L J U S Z W I R S K I

5

## IDYLLA NA ARKTYKU

Kiedy jednak zobaczono Alkase przestano się dziwić; dziewczyna była naprawdę śliczna i niejednen ze starych włóczęgów uczyniłby na miejscu Piotra to samo. Trzeba było długo tłumaczyć zebranej hołocie, że Alkase nie jest bynajmniej żoną Piotra i żeby sobie poszli do wszystkich djabłów. Nie uwierzyli i Piotr wbrew prawdzie, ale zgodnie z odwieczną tradycją brzegu musiał urządzić klasycznie całe towarzystwo. Tej samej nocy odjechał, zabierając z sobą dziewczynę i słysząc długo jeszcze narzekania koncertowo pijanego Thomsona, że jego przyjaciel zabrał mu najdroższy skarb, jego dziecko przybrane i że dlatego on, Thomson, rzuci do diabła włóczęgę po świecie i osiadzie gdzieś koło St. Louise przy córce i zięciu, żeby na stare lata jeść chleb łaskawy. Na wspomnienie „łaskawego chleba” Thomson rozrzewnił się nie na żarty i ryknął długim nieutulonym płaczem. To znów wzbudziło bajeczną wesołość tych wszystkich, którzy przecież dobrze wiedzieli, kto był twórcą tych wszystkich majątków i fabryk pod firmą Thomson i Co. Zanośli się na awanturę, ale na szczęście pozostała butelka whisky załagodziła spór i Thomson zgodził się, że jeszcze tak zupełnie bez grosza nie jest.

Tymczasem trzy pary sań, obładowane nad miarę, posuwały się szybko po wilgotnym śniegu w kierunku północno-zachodnim. Podczas postoju okazało się, że Alkase doskonale daje sobie radę z uprzężą, zna się na mocy i wytrzymałości zwierząt, umie prowadzić zaprzęg psi i wiele innych rzeczy. Niedarmo przecież pochodziła z nad Yukonu, pokrytego prawie wiecznym lodem, z północy Ameryki, gdzie klimat, roślinność i sposób życia niewiele się różnią od klimatu roślinności i sposobu życia w północnej Azji. A w piersi Piotra, kiedy patrzył na jej drobną i delikatnie rzeźbioną twarzyczkę, wychylającą się z owalnej czapeczki futrzanej, rodziło się nowe, nieznane uczucie. Coś niby głęboko utajony instykt ojcowski, drgnęło w sercu Piotrowem na gwałt spragnionem kochania. Patrząc na jej drobną, ale silną postać począł marzyć o jakimś zakątku świata mniej pustym i niegościnnym, gdzieby jej nadzwyczajna uroda mogła w pełni zajaśnieć. Uczyni ją wielką panią, wykształci, odda cały, dość

znaczny majątek, z którym naprawdę nie wie, co zrobić. Ale w te marzenia wtargnęło nagle bolesne przypomnienie wszystkich krzywd, upokorzeń, męczarni, jakich doznał wśród ludzi cywilizacji i przerażenie go ogarnęło na samą myśl o powrocie. A przy tem Alkase jest czerwonoskórą i tego nie zmieni żaden majątek, żadna potęga ludzka. Porzucił więc te marzenia, ale za to przysiągł w głębi gołębiego serca, że będzie ją miłował, jak córkę, jak własne dziecko, którego nie było mu sądzone posiadać. „Tylko ty mi jej Boże nie zabierz!” — poprosił z pokorą, a jednocześnie z głuchą, zatajoną groźbą. Pamiętał wszak dobrze, że nie tylko śmierć rozdziela ludzi na wieki. Z góry drżał, szukając utajonego wroga, obawiając się zewsząd podstępów, przewidując najbardziej nieprawdopodobne niebezpieczeństwo. Teraz dopiero uczuł z całą przebolesną mocą, jak głupio, nieużytecznie i niepowetowanie zmarnował dziesięć lat życia. Ale miłość i miłość tak się wżarły w rdzeń duszy, tak przepaliły każde jej włókno, że stały się chroniczną, nieuleczalną chorobą, na którą już nie było ratunku nawet w uczuciu ojcowiskiem. Uczuł ogromny żal, że tak zmarnował i zatracił cudowny dar kochania, czarodziejską władzę dawania i brania szczęścia. Rozwahał ze smutkiem i skrucą, że nie tylko siebie skrzywdził niepoczytalnie i zupełnie bez potrzeby, ale, prawdopodobnie, tych wszystkich, którzy by mogli i chcieli czerpać z nieskończonej zasobnej skarbnicy jego serca.

Koło południa przyjechali do domostwa Piotra, przywitani wyciem i ujadaniem zgłodniałej psiej zgrai. Trzeba było natychmiast przygotować dla nich jedzenie, wyprząc zmęczone reny, poznosić przywiezione zapasy. Wkrótce zahuczał ogień w wielkim piecu, zadymił torf i rozszedł się zapach prostej zupy z tłuszczem i poślednich krup. Alkase z dziecinem wzruszeniem pomagała Piotrowi, z góry brała to całe małe gospodarstwo w swoje niepodzielne władanie. Oglądając wnętrze chaty, zagrodę dla renów, szopę dla psów, drewnotnie i skład zamyślała nowe zmiany, ulepszenia, ład i porządek. Cieszyła ją niewymownie poblizko morza, królewska samotność miejsca, skromny dostatek i możność gospodarowania. In-

stynktem kobiecym odgadła nieomylnie, że człowiek tak samotnie żyjący potrzebuje komunji serca i zapagnęła mu ją dać z całej duszy.

Poczęły im płynąć dnie spokojne, wypełnione pracą, dospodarskimi zabiegami i słońcem. Był to bowiem czas wiosny w jej pełnym rozkwicie, a zatem czas przerwy w łowach, czas pracowitego próżniactwa. Po nakarmieniu renów i psów, zgotowaniu objadu i przygotowaniu torfu i suszonych mchów na opał, nie mieli nic do roboty, a tymczasem słońce prawie w ciągu całej doby krążyło po niebie bez chmur i bez końca swarzyły się zgraje wszelkiego ptactwa na skałach cieśniny. Szli więc nad morze i z rozkoszą śledzili grę fal, w słonecznym blasku. Kiedy ich oczy zwracały się w kierunku lądu, pieściła je liljowość na podziw rozkwitłych saxifragesów i jędrna, zazdrosna złotość mchów. W ciągu tych kilku tygodni, pod wpływem radosnej obecności zawsze wesołej dziewczyny, dokonał się w duszy Piotra przełom. Już nie uciekał samotnie na całe dnie w tundrę, aby zмагаć się w milczeniu z wiekuiącą swą męką. Na jego umęczoną duszę padły promienie słońca i wyczarowały z niej kwiat upragniony uciszenia. Nagle, ni stąd ni zowąd, zjawił się cel i cicha, rzewna nadzieja. Celem tym była Alkase, śliczna, wesoła Alkase z ogromnymi, żalonymi oczami, a nadzieją — jej szczęście! Postanowił sobie nauczyć ją poprawnie angielskiego języka, początków matematyki, przyrodoznawstwa, historii, wszystkiego co sam umiał, a przede wszystkim życia wśród białych. Pierwotna idea zamieszkania z nią w środowisku cywilizowanym znów powróciła, doszedł bowiem do przeświadczenia, że byłoby egoizmem nie do przebaczenia więzić przy sobie tę słodką dziewczynę. Spienięży raczej wszystko i przeniosą się do Labradoru, albo do innego jakiegoś czarodziejskiego zakątka świata, gdzie śliczna dziewczeczka, jako adoptowana córka białego, bardzo zamożnego człowieka, będzie mogła z łatwością zdobyć szczęście i stanowisko. Tymczasem przywiązywał się do niej z każdym dniem mocniej, radując się nieskończonej jej inteligencją i zdolnościami. Była mu dzieckiem umiłowaniem, nieskończenie drogim, swoim i bliskim.



Jak promień słoneczny załamała się w pryzmacie jego serca, spragnionego kochania, umęczonego nadmiarem niewyzwolonej tkliwości. Nie znaczy to jednak, aby zapomniał o tamtej. Tamta jasna i święta, wciąż jeszcze była bolesnym, ale wyłącznym szczęściem duszy, jedynym czarodziejstwem życia, dośmiertną, bezwzględną miłością.

Długie godziny rozpamiętywał jej postawę, ruchy, dźwięk głosu, barwę oczu, świeżość ust i niesłychany wdzięk maleńkich dion. Tylko, że ta niesamowita tęsknota — straszliwy stan duszy i męka nieukojo- na, szczerząca zęby przy lada sposobności, zmieniły się na bolesną, ale cichą rezygnację. Królowną mu była niedosiężną, panią anielską, zjawiskiem boskiego marzenia o pięknie, czarodziejstwem nieba i ziemi. Jakże mu było marzyć o niej, jakże można w niewysłowionem zuchwałstwie podnosić na nią oczy. Była przecież kultem i religią, świętością i umiłowaniem, tęsknotą wiekiustą i nieuleczalnym marzeniem. Kiedy się modlił do wielkiego, groźnego Boga swego, czynił to za jej pośrednictwem i wierzył niezłomnie, że ona, ten

święty kwiat polskiej ziemi, jest jedyną właściwą drogą do Boga. Kiedy chciał uciszyć szalejące potęgę zła lub groźne przeczucia klęski, do niej się zwracał najufniej, spokojny, że jej święte pośrednictwo uchroni od nieszczęścia. Było to coś pośredniego, pomiędzy bałwochwaltwem, a prawdziwą religią — ogniwo wielkiej miłości boskiego tworu, łączące z całym światem i z Bogiem.

Jednak Alkasen, widząc go często zamysłonym i po prostu nieo-



becnym duszą, tłumaczyła to sobie inaczej — Oto ten wieki, mądry człowiek jest za wielki na jej dziecinne kochanie i ucieka od niej do jakichś nieznanych krain, na nieznane lądy ducha. Jakże to były krainy i lądy, — nie wiedziała, ale czuła przed nimi lęk i instynktownie nienawidziła ich całym sercem, bo zabierały jej duszę ukochanego. Więc podwoiła wysiłki i słała mu się poprostu do stóp w niewolniczej uległości i bezgranicznym oddaniu. Płomienne serce północy i orgia krótkiej, a przeto intensywnie oszalałej wiosny, zamieniły jej krew w war miłosnych pożądań. Wiedziała, że przeznaczeniem kobiety jest być żoną i matką, więc chciała mu być żoną i matką jego dzieci, radosnym uśmiechem życia i obroną przed złemi myślami, co zasepiały mu czoło. W kryształowej czystości uczucia nie widziała nic złego w tem, że ślicznie toczonemi ramionami oplatała jego mocną szyję i wcałowywała w usta pokorne słowa kochania. Ani na chwilę nie pomyślała, że ten potężny człowiek uważa ją za swoje dziecko i objawy miłości przyjmuje jak ojciec i opiekun. (d. c. n.)

W A N D A M I Ł A S Z E W S K A

12

## ZATRZYMANY ZEGAR

(powieść)

— Dzisiaj skończymy lekcję wcześniej. Możecie iść do domu, tylko nie popychać się, nie bić, nie przeskakiwać ławek! Wychodzić po jednym, spokojnie!

Ot, próżne słowa! Dzieciarnia już się ciśnie w sieni, chwyta pospiesznie swoje cnustki i kożuszki. Słychać pisk, tupot nóg o podłogę, wykrzykniki ucieszne, narzekania, sprzeczki, a nawet płacz. To mała Julka rozdarła swój błękitny, „amerykański“ szalik o gwóźdź, a teraz znowu Micik nie może znaleźć czapki, więc krzyczy na odchodzących by zaczekali chwilę.

— Kab ciabie chalera! — słyszę z za drzwi popularne życzenie. — Pahladzi, durnyj, taż ana u ciabie na hołowie, Micik!

— Praudu każe... — podziwia chłopiec, macając głowę obiema dłońmi.

Gwar powoli ustaje. Ktoś szuka jeszcze swojej „wieriouki“ (sznurka) którą przyniósł w kieszeni kurbaka, ktoś inny narzeka, że mu kurtkę na ziemi butami podeptali... Wreszcie tupot ostatniej pary nóg milknie za progiem. Słychać już tylko zdala wesołe pokrzyki, pogwizdywania, nawoływania, śmiech.

Zebrałam i ja swoje manatki, jak mogłam najprędzej.. Ej, Krysiu, przynaj otwarcie! I ciebie, narówni z dziećmi, wygania z izby ten pierwszy śnieg! Prędzej, prędzej do domu na objad, a potem hen, gdzie oczy poniosą, w dalekie, białe pola...

Służąca burmistrza, puciołowata, rumiana dziewczyna w wiecznieniu rozdartym na łokciach kaftaniku, ozwała się, stawiając zupę na stole:

— A to proszę pani naniosło od rana! Biało i biało!

A prawda! Biało! Chwała Bogu biało!.. Połknęłam porcję zacierkę parząc język. Kawałek mięsa wydał mi się mniej twardy, niż zwykle. A to wszystko sprawiła radość, owa radość bez sensu, że na świecie mroźno i biało, błękitnie i brylantowo od roziskrzonych promieni słonecznych!..

Wsunąwszy brodę w kołnierz palta, a ręce w kieszenie, ruszyłam zatem „przed siebie“... Nagie konary stuletnich lip klimontowskich odcinały się mocnym rysunkiem od białej płaszczyzny pola i błękitnego tła nieba. Z głównego gościńca wiodła wprost ku nim wydeptana już ścieżynka. Poszłam tamtędy. Miękki śnieg nie skrzypi, ale usuwa się lekko z pod stóp... Pierwsza jego warstwa zaczyna zwolna topnieć...

Dziesięć, dwadzieścia minut — i oto jestem u celu. Skrzypnęły



przyjaźnie stare, zmurszałe wrota, zapraszając mię gościnnie do wnętrza parku. Gdzieś, z wysokości, z cienkich gałązek, splątanych w dziwne arabeski, spada co jakiś czas grudka śniegu, rozpyła się w powietrzu, miljonem drobniutkich gwiazdeczek siada mi na ramionach... Idę ostrożnie, by nie otrząsnąć tych djamentowych kryształków. Nadaremnie jednak. Wsiąkają w szorstki materiał wełniany, topnieją z każdą chwilą, nikną...

Przed domem stary Wątek odgarnia śnieg ze schodów. Dostrzegam jego połamaną sylwetkę poprzez bataljon chochołów słomianych, otulających krzewy róż. Zbliżam się do starego i zagaduję.

— Cóż, panie? Pierwszy śnieg mamy?..

— A jest, paniusiu, jest. Chwalić Boga, robotę w ogrodzie skończyliśmy. O, będzie twarda zima, jak się patrzy!

Przez chwilę przyglądam się w milczeniu grudom śniegu, lecącym z łopaty na dróżkę, przysłuchuję się, jak zgrzyta żelazo o kamienne stopnie, wreszcie zagadam znowu:

— A coż tu u was słycać? Dawno nie byłam...

— Widzi mi się, co dawno — przytakuje stary kuternoga, rozprostowując grzbiet i skrobiąc się w głowę nad uchem. — Ano, u nas nic... Po staremu, robota. Dziś to, jutro tamto, żona w mieszkaniu, na gwałt szpary zakleja, co przez nie nocą śniegu nawiało. Rudera wszystko, dziurawe to, jak sito. Jeszcze się na łeb człowiekowi kiedy zawali... Może panusia wstąpi na chwilę do żony? Rada bardo będzie...

Rzeczywiście, Wątkowa, stojąc na krześle, zaklejała papierem szczeliny w ramie okiennej, utkane poprzednio pakułami. Duży sagan z klajstrem stał obok na stole.

— A, to pani! — uradowała się szczerze i poczęła złączyć ze stołka, postęgując. — Jużesmy dawno paniusi nie widzieli. Myślałam: chora, ale mi Teoś codzień nowiny o pani ze szkoły przynosi. Co to pani tak dawno nie zajrzała?

— Kawałek drogi, moja pani Wątkowa. Przytem — roboty w szkole dużo... Deszcze., Jakoś tak zeszło.

— Bo też i chlapanina była! Nie daj Boże, jakie tu błocko! Zaraz za ogrodem ugrzęznąć można po pas. Teoś, hej, Teoś! — krzyknęła nagle — On tu gdzieś był niedaleko, tylko teraz pewnikiem na strychu siedzi... Calutki dzień na

tym strychu się grzebie, proszę paniusi. Żeby pozwolić, nocowałyby.

— Cóż on tam robi?

— Kto jego wie? Ot, takie różne szpargały przebiera. Nie brak tam tego. Jak tu we dworze wojska kwaterowali, to wzieni, i powyrzucali wszystko, co im się nie spodobało, na ten strych, w jedną kupę. Papierzyków tam leży różnych, książków, natłuczonego szkła, połamanych mebli.. Takie, ot, graty. Raz Teoś stamtąd lampę wyciągnął, wcale jeszcze niczego. O, widzi, pani, ta, co tu stoi. Knot dokupiłam w miasteczku, szkiełko — i pali się niezgorzej. Brać, to ja nic z pokojów nie biore... Ale ta lampka.. Juści, nic nikomu po niej, a nam zawsze trochę poświeci... Teoś! Tee—oś! A chodź—że! Pani przysłała!

— Nie wołajcie. Samago później poszukam. O co to chciałam jeszcze zapytać? Aha.. A odiedzicach wiadomości żadnej nie ma?

— Gdzie zaś niema! Właśnie że jest. Był tu administrator Romaniszek w zeszłym tygodniu. Nakrzyczał, nakotłował, nosa wszędzie nawściubiał... Nam to nic, bo to nie jego interes przy domu, a mąż swoje robił i robi. Ale ekumono wi się dostało. To ten administrator miał rzec do kogoś, że się przecie nasze państwo znalazło. Pani dziedziczka ciągiem we Warszawie siedzi, że chora niby. Nieprędko oni tu zjadą... Może i nigdy? Miastowy musi być człowiek, ten pan Rymsza. Hadwokatuje, czy co? Pani tutejsza, to pani chyba lepiej wie... — zerknęła ku mnie.

— Nie, teraz nie wiem. Oddawna nie wiem nic. Wyczytałam tylko w gazecie, że matka pani Rymszy, pani Emilja Klimontowska, umarła.

— Ano, nie żyje, wiem. W Rosji umarła. Będzie ze dwa lata, albo i więcej. Że też jej było trzeba jechać do tej bolszewickiej hołoty... Po co?

— Za mężem pojechała.

— A prawda, słyszeliśmy, jak ludzie opowiadali. My tu niedawno siedzim w tej okolicy zatraconej. Bo my z mazurów, mówiłam już pani, prawda? Ech, Boże drogi! Nas także wojna zagnała w świat.. Poprzerzucalo też ludzisków, poprzerzucalo! Z jednego końca ziemi w drugi... Że potem ani trafić do rodzzonego kąta! A starszy pan Klimontowski to chyba także w Rosji pomarł?

— Tak, jeszcze dawniej.

— Oho, namarnowało się narodu przez tę wojnę! W pieskich czasach żyjem, paniusiu złota. Ot, nieprzy mierzając, tutaj. Dwór, jak się patrzy, budynki... Ziemia, że lepszej nie trzeba. Gdzie u nas kartofle takie? Na piaskach? A tu się wszystko przez pół marnuje. A kto winien? Musi, nasze państwo serca do ziemi nie mają, że ich po świecie nosi. Dwa majątki, jak złoto... Ale oni w Romaniszkach także mało kłedy nosa pokażą...

— Pan... Rymsza ma swój fach. W mieście mieszkać powinien.

— Et, — machnęła ręką Wątkowa — Kiepski to fach, swojego dobra nie pilnować! Już pani idzie? Bóg zapłać, że pani tu do nas zajrzała. I za Teosia mojego Bóg zapłać, za wszystko. Chłopak się strasznie ochotny zrobił do tej nauki, a panią, to już chyba kocha, jak matkę rodzoną...

Wracałam do domu, brnąc w błocie po kostki. Z śnieżnego puchu zostały tylko lśniące kałuże na drogach i gdzieniegdzie płat, bielejący w polu. Wiatr zaczął dąć od zachodu i napędził ciężkich, deszczowych chmur...

Przemoczyłam obuwie, zziębłam i posmutniałam w tej drodze powrotnej. Miałam takie uczucie, jak gdybym, pragnąc u źródła zgasić pragnienie, napiła się wody mętnej, przestałej.. Przesiękła mi dusza goryczą wspomnień, uczułam zimną pustkę grobu.

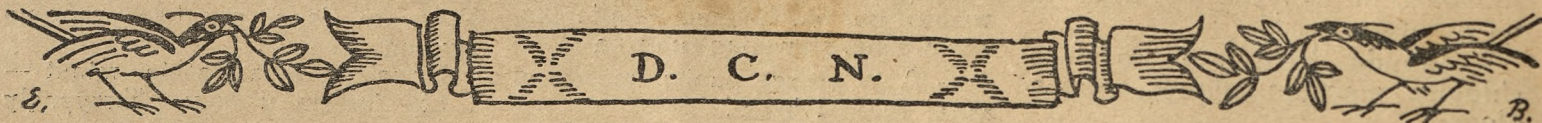
Jak gorzko... Jak gorzko...

## XVII.

Moja rozkoszna influenza kwitnie w najlepsze i ani myśli mię opuścić. Tego samego dnia, gdy obudziłam się z silną gorączką i dałam znać do szkoły, że przyjść nie mogę, zjawiła się panna Leonka.

— Ajaj! Co pani najlepszego wyrabia! Żeby też chodzić po jakich wertepach, po błocie, a jeszcze nocą! Ma pani teraz...

Ano, prawda, mam. Kości łamią, w gardle drapie, kaszlę, jak owca, a zamiast chustek do nosa zaczęłam chyba używać ręczników... Ot, jakiego piwa nawarzyły mi sentymentalne przechadzki! Ja już chyba nigdy nie zmądrzeję. Mogłam przewidzieć, że przeprawa przez trzy wiorsty błota musi się skończyć katarem... Ach, prawda: śnieg mię upoił! Pierwszy śnieg wywabił mię z ciepłego pokoju i zawiódł aż do Klimontowiec!





KAROLINA BIELAŃSKA

Z CYKLU: PROFILE ROMANTYCZNE

## PIĘKNA PAMELA

(LADY FITZGERALD)

1773 — 1831

6

„Pogoda, śpiew ptaków, to śliczne Frascati i moja śliczna żona, jakież to przedziwne wrażenia i jak rozkoszuję się nimi!...“

Któżby pomyślał, patrząc na tę majową sielankę, że jest to Rok Straszny, rok 1793!

W Paryżu leje się krew i głowy padają jak kłosa.

Lord Edward nie pozwala Pameli czytać gazet. Musi odsuwać od niej wszelkie przykre wrażenia: młoda kobieta raduje się nadzieją macierzyństwa.

Nadzieja gaśnie i Pamela choruje czas jakiś, ale otoczona tkliwą opieką, przychodzi do siebie. Znów odwiedza rodzinę męża, witana z radością, pieszczona przez teściowę, rozmiłowaną i w synu i w synowej.

„Dziesięć tysięcy czułości memu chłopcu — pisze księżna — pilnujcie dobrze naszej słodkiej Pam, żeby nie zasłała przedwcześnie!“

Tymczasem w Paryżu grasuje śmierć. 6-go listopada stracony został książę Orleański, mężną postawą w obliczu zgonu okupując słabości życia.

Kilka tygodni przedtem, wraz ze szlachetnemi, młodemi głowami Żyryndystów, padła siwa głowa pana Sillery.

Pani de Genlis znalazła schronienie w Szwajcarii i, oddawszy księżniczkę Adelajdę pod opiekę ciotki, księżnej Conti, ze zgrozą śledziła bieg straszliwej, pożerającej swych własnych twórców, rewolucji.

Przed Pamelą ukryto smutną prawdę przez kilka miesięcy. Choćby nie wiedziała, jak bliskie węzły łączą ją z księciem, to jednak śmierć osób tak bliskich jej niedawno jeszcze, nieszczęście opiekunki, musiały wstrząsnąć duszą młodej kobiety. Jak nie zdrzeć o własne, tak wielkie, tak niewypowiedziane szczęście!

Ale młode życie, które czuje w swoim łonie, dodaje jej otuchy.

Z wiosną 1794 roku Pamela oczekuje rozwiązania; czuje się rzeźka, zdrowa, pełna najlepszej myśli. Mąż uradowany zamyśla o stworzeniu własnego gniazda dla swojej rodziny.

Dotąd młode małżeństwo mieszkało „kątem.“ Edward, najmłodszy z braci, jest najbardziej upośle-

dzony majątkowo. Może chytry ojczym wyzyskać umiał niepraktyczność i idealizm młodego człowieka i wykwitować go gorzej od braci, dość, że młody lord posiadał na własność tylko majątek w Kiltrush, na południu Irlandji, bez domu mieszkalnego. Teraz mąż ciotki, sir James Conolly, chciał mu podarować domek niedaleko od posiadłości jego leżący, zwany Kildare Lodge.<sup>1)</sup>

Edward prezentu przyjąć nie chciał, ale fundusze jego wystarczyły, by nabyć dom za trzysta funtów szterlingów. Miał do wyboru dwór inny, większy, ale i on i Pamela „przekładają mały domek nad wielki“ i wybierają Kildare Lodge na gniazdo rodzinne.

Śliczny obrazek domku daje Edward w swoim liście:

„Maleńkie to, jak tylko być może. Idzie się ścieżką przez pole; furtka prowadzi na mały dziedziniec. Dom biały, dwa wiązki rosna przed nim. Z jednego boku same krzewy, z drugiego wysoki klon. Na ganku w dwóch dużych klatkach z łoziny śpiewają na zabój kosa.“

„Naprzód wchodzi się do małej sieni, potem jest salon z dużym, weneckim oknem, oplecionym różami i kaprifoljum, wychodzącym na ogród, który jest tylko trawnikiem, obsadzonym prześliczną tarniną.“

O każdej porze dnia można znaleźć cień. Na górze duży pokój z balkonem, również obrosłym kaprifoljum, i drugi mniejszy. Dodajcie do tego w parterze kuchnię i pokój dla służby, a będziecie mieli cały dom.“

— „Pam przepada za swoim domkiem — pisze niebawem Edward. — Patrząc na nią, jak opięta w ciepłym amerykańskim kubraczku, zasiewa groszki pachnące i rezedę. Jej stoliczek do roboty stoi przede mną, na nim czepeczki, które szyje dla naszego maleństwa...“

„My sweet Pam myśli o przejściu, które ją czeka, z największą odwagą. Widząc ją tak wesołą i ja czuję się dobrej myśli, a zresztą, chwała Bogu, to mój zwyczaj widzieć wszystko w różowych kolorach!“

Ze swej strony Pamela pisze do siostry, Zofji, listy, przeniknięte cichem, rzewnem poczuciem szczęścia:

„Kochane Kildare! jesteśmy tu szczęśliwi od rana do wieczora...“

„Chodźmy na długie przechadzki, a ścieżki i drożyny są śliczne. Eddy czyta mi głośno, podczas gdy pracuję nad wyprawką waszego bratanka lub brataniczki.“

„Och! Zofjo, jaka to będzie słodka chwila, gdy złożę w ręce najdroższej mamy dziecię jej kochanego Edwarda.“

„Łzy cisną mi się do oczu, gdy o tem pomyślę. Drogie siostry! Jakże radośnie was uściskam!“

„Biedna Pamela zapomni o wszystkich swoich nieszczęściach.“

„Ale dlaczego dziewczynki utrzymują, że mój maleńki będzie podobny do Ducresta lub Farry? (brat i kuzyn pani de Genlis). Boję się, żeby w złą chwilę tego nie powiedziały. Dopiero będę triumfować, gdy pokażę wam małego Eddy z wielkimi, niebieskimi oczyma!“

W starym pałacu dublińskim, gdzie Pamelę na połów zaproszono, przychodzi na świat dzieciątko i jest to istotnie „śliczny mały Eddy!“

— „Chłopak jest bardzo ładny — pisze szczęśliwy ojciec — a z początku było zgoła przeciwnie. Nic bardziej rozrzewniającego, jak widok młodej mateczki, takiej jeszcze bledziutkiej, jak go trzyma w objęciach i napatrzeć mu się nie może.“

Do chrztu trzyma małego słynny mąż stanu, kuzyn Fitz Geraldów, Karol James Fox; równocześnie odbywają się też chrzciny synka księstwa Leinster.

Mimo miłych, rodzinnych uroczystości młodzi tęsknią do swego „małego domku.“

„Bardzo bym chciał wrócić do Kildare — pisze Edward. — Byłem tam po rozwiązaniu Pam i mimo, że drzewa potraciły już liście, ślicznie było. Przepędzimy tam zimę rozkosznie. Ogrodziłem sztachetami ogródek przed domem, posadziłem róże, głogi i hiszpańskie janowce. Sądzę, że gdy znajdę się tam z moją miłą Pam i z dzieciątkiem, w dżdżysty wieczór, przed dobrym ogniem na

1) Lodge — dworek.



kominku, z przyjemną książką w ręku, obrobiwszy ogród, zapędziwszy kury do zagrody, będą się czuć tak szczęśliwi, jak tylko człowiek nim być może.

Młoda matka również czuje, że serce jej wzbiera od szczęścia; z dumą pisze:

„Dear little boy ma się wyśmienicie, jest to najmilszy dzieciak pod słońcem, będziesz go kochać, Lucy moja, gdyż podobny do Edwarda, choć jeszcze nie tak całkiem, jakbym pragnęła. Cały dzień jest na świeżym powietrzu, kąpię go codzień w zimnej wodzie, dlatego taki zdrow!”

„Jesteśmy szczęśliwi od rana do wieczora — powtarzają ściany białego domku — szczęśliwi, jak tylko człowiek być może.”

Na świecie huczą burze, ale nic nie narusza błogiej ciszy dworku, zaszytego w gęstwi głogów, janowców i róż; dziecko świergoce tam i ptaki.

Tylko czemu w tym cichym domu czytają wieczorami—Plutarcha?

Przywiozła Pamela z Paryża tę małą książeczkę, w skórę wytwornie oprawną. Edward przywłaszczył ją sobie i zrobił z niej swój brewiarzyk.

I czemu młoda pani grywa na staroświeckiej harfie irlandzkiej, prócz kołysanek dzieciennych, melodje nowe, w których jest krew i płomień?

Liberté, liberté chérie,  
Combats avec tes défenseurs.

I czemu, patrząc na żonę i dziecko, lord Edward ma czasem łzy w oczach, on „najszczęśliwszy człowiek pod słońcem?”

Czy możliwe, aby ten człowiek chciał własnymi rękami zburzyć swoje wielkie, nieporównane szczęście?

Dziwią się owej zagadce francuscy i angielscy biografowie irlandzkiego lorda i jego pięknej żony.

My się nie dziwimy.

Znamy dawno dylemat rozdierający serca, które

szczęścia nie znalazły w domu, bo go nie było w ojczyźnie,

i tę żalną zapowiedź:

Biada niewiastom, jeśli kochają szaleńców, których sercu nie może szczęście domowe wystarczyć.

Biedna Pam!

(c. d. n.)

## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU.



### KOBIETY A LOTNICTWO

Niezwykle interesujący odczyt wygłosiła niedawno na zebraniu Związku Pilotów Francuskich w Paryżu znana literatka, pani Faure — Favier, mówiąc o wielkim wpływie kobiet francuskich na zaciąg do służby lotniczej w armji.

Pani Faure — Favier zwalcza mniemanie, jakoby Francuzki powstrzymywały synów swych, mężów i narzeczonych od lotnictwa, pomimo całego niebezpieczeństwa tego zawodu. Egoizm macierzyński — twierdziła prelegentka — jest u Francuzek rzeczą bardzo rzadką. Większość matek francuskich z radością i dumą posyłała synów swych podczas wielkiej wojny na walkę z wrogami Ojczyzny.

Ale i dziś, gdy wojna już jest skończona, serce kobiety francuskiej nie przestaje drżeć o los ukochanych. Śmierć zbiera obfite żniwo wśród bohaterkich „rycerzy powietrza”.

Za mało myślimy — mówi pani Faure — Favier — o tych ofiarnych, pełnych poświęcenia kobietach — żonach i matkach lotników naszych, których twarda służba Ojczyźnie zagnała do dalekich portów w obcych krajach. Widziałam podczas mojej podróży propagandowej zagranicą te małe kolonje lotnicze francuskie, w których rodziny pilotów i aerotechników żyją ze sobą w braterskiej przyjaźni i zgodzie. Kto wie, czy nie najlepszą propagandą zagraniczną na rzecz Francji są właśnie te kobiety francuskie, tak dzielne, a tak skromne w swem cichem bohaterstwie, pełne osobistego uroku i prawdziwego, głębokiego przywiązania rodzinnego! Uczą one cudzoziemców poznawać Francję taką, jaka ona jest w istocie: patriotyczną, ofiarną, pełną zapału i miłości.

### KOBIETY WYNALAZCZYNIAMI

Angielskie statystyki urzędowe wykazują niezwykle wzrost wynalazców wśród kobiet. W roku ubiegłym na 30 tysięcy wynalazków, zgłoszonych do opatentowania, około 1000 przypadło na wynalazki, dokonane przez kobiety.

Odznaczają się one często dużą pomysłowością i posiadają znacze-

nie praktyczne, tyczą się zaś przeważnie ulepszeń w zakresie gospodarstwa domowego, jako to: nowe konstrukcje piecyków gazowych i elektrycznych, przyrządy do odkurzania, maszynki do prania, zmywania, nowe rodzaje naczyń kuchennych itd. itd.

Wynalazek jednak, dokonany przez pewną inżynierkę angielską, panią Ayrton, posiada znaczenie ogólniejsze i został już poważnie przyjęty w przemyśle górniczym angielskim. Pani Ayrton skonstruowała mianowicie bardzo pomysłowy i praktyczny system wentylatorów kopalnianych, służących do przewietrzania szybów górniczych. Wynalazek ten, dokonany jeszcze w okresie wojny europejskiej, został natchmiast zużytkowany przez angielskie władze wojskowe dla doprowadzania świeżego powietrza do okopów i oczyszczania ich przed gazami trującymi.

### SEKRET POWODZENIA

Pewna amerykańska ekspertka w sprawach handlowych twierdzi, że kobiety umieją lepiej prowadzić t. zw. „business” czyli interesy dochodowe — sklepy, biura, zakłady przemysłowe, — niż mężczyźni. Są one podobno naogół o wiele zręczniejsze, bardziej przedsiębiorcze, wytrwalsze w pracy, przytem bardziej oszczędne i — co najważniejsze — lepiej umieją obchodzić się z klientami.

Aby jednak uzyskać powodzenie w „businessie”, trzeba, zdaniem owej ekspertki, zachować jeden niezbędny warunek: naturalny wdzięk kobiecy. Mylą się bardzo te panie, które wyobrażają sobie, iż dla pracy samodzielnej trzeba zatracić cechy kobiecości, przybrać ruchy i strój nawpół męskie, mówić głosem ostrym itd. Taki sztucznie wytworzony typ nie uzyska nigdy uznania ani wśród klientów, ani wśród personelu pomocniczego. Drugą krańcowością byłby tak modny w ubiegłym wieku typ „kobiety sentymentalnej” udający przesadną subtelność uczuć i mdlejący przy każdej sposobności. Cechą kobiety prawdziwie nowoczesnej i samodzielnej jest właśnie jej naturalność i brak wszelkiej pozy.

### OSOBLIWY SPOSÓB KOJARZENIA MAŁŻEŃSTW

Pisma francuskie przytaczają zabawny zwyczaj, istniejący od czasów średnowieczna w miasteczku belgijskim Ecaussines, obecnie zaś — po przerwie spowodowanej wojną — wskrzeszony na nowo.



Oto mianowicie co roku, w ostatnich dniach miesiąca maja, burmistrz miasta Ecaussines zaprasza drogą ogłoszenia całą młodzież obojga płci z miasteczka i jego okolic na podwieczorek, wydawany sumptem władz miejskich, a to celem bliższego zapoznania się młodzieży i zawiązania przyszłych stadeł małżeńskich.

W dniu 1-go czerwca, jako przeznaczony odwiecznym zwyczajem na ową uroczystość, zjeżdżają się ze wszystkich stron młodzi wieśniacy, odświętnie przybrani, z kwiatkiem przypiętego do kłapy ubrania na dowód, że młodzieniec ów pragnie wstąpić w związki małżeńskie. Kandydat do ożenku musi wprzód wylegitymować się w ratuszu ze swych zajęć, stanu majątkowego etc. — a co najważniejsze, przedstawić zaświadczenie proboszcza swojej parafii, że jest „chłopcem porządnym, uczciwym i moralnym.“

Po załatwieniu tych formalności kandydat otrzymuje kartę wstępu na podwieczorek. Przy olbrzymich stołach w sali ratuszowej zgromadza się wówczas cała młodzież z Ecaussines i okolicy. Przyjęcie nie jest wprawdzie luksusowe — składa się na nie kubek kawy, kawałek placka i tabliczka czekolady — ale zabawa przy dźwiękach muzyki przeciąga się nieraz do późnej nocy. Na podwórzu ratuszowym, oświetlonem pochodniami, młodzież wieśniacza w barwnych strojach ludowych zawodzi korowód taneczny, tworząc obraz jakby żywcem wyjęty z odległych czasów średniowiecza...

Skutkiem tej tradycyjnej uroczystości są liczne zapowiedzi ogłoszone w następną niedzielę ze wszystkich ambon wiosek okolicznych. W tym roku, — pierwszym od wznowienia tego oryginalnego zwyczaju — ogłoszono ich odrazu blisko sto!

## KUCHNIA ZAJĘCIEM DLA MĘŻCZYZN?

W Chinach panują wręcz przeciwnie naszym poglądy na zajęcia, będące wyłącznym przywilejem mężczyzn. Kuchnia — to „sanktuarjum“ kobiety, w pojęciu europejskiego — jest, wedle przekonania chińskich, miejscem dla kobiety wręcz nieodpowiedniem. Gotowanie — rozumie chińczyk — jest sztuką niezwykle subtelną, wymagającą specjalnych uzdolnień fizycznych i umysłowych, wytwornego smaku i delikatnego węchu — skądżeby więc istota tak upośledzona pod każdym względem, jak kobieta, mogłaby rościć sobie prawa do tak szlachetnego zawodu?

Kucharzem więc bywa w Chinach wyłącznie mężczyzna. Uważa on swój fach za przywilej, nadający mu wiele godności i nie jest bynajmniej skłonny do odstąpienia go kobiecie.

Jednakże hasło równouprawnienia dotarło i do otoczonego murem odwiecznych tradycji „Państwa Niebieskiego.“ I oto Chiny stały się widownią zjawiska wprost niebywałego! Kobieta chińska nie tylko zapragnęła odrzucić powijaki, krępujące jej okaleczone stopy i niemniej okaleczony umysł, zapragnęła ponadto dorównać mężczyźnie na każdym polu, nawet — o zgrozo — kuchennem!

Powstał bowiem w Kantonie wielki zakład restauracyjny, w którym rolę kucharzy pełniły dwie kobiety. Obsługa zakładu była również kobieca. Restauracja ta zrazu, jako osobliwość, cieszyła się względami cudzoziemców — i tylko samych cudzoziemców. Chińczycy bowiem ze wzgardą omijali progi zakładu, w którym szczytny obowiązek „mistrza żołądka“ powierzono kobiecie!

Z powodu braku klienteli trzeba było wkońcu kucharki odprawić i zastąpić je kucharzami. Emancypantki chińskie jednak nie dają za wygraną i postanowiły założyć w temże mieście kursy gotowania dla kobiet, twierdząc, iż „zawód kucharki powinien stać i dla kobiety otworem.“

Z. B.

## Z KSIĄŻEK

*Ilja Erenburg — Niezwykłe przygody Julja Jurenity.* Warszawa. Ignis.

Jest to bardzo dobra książka satyryczna. Świetnie obnaża niezliczone perfidje cywilizacji całego świata, wśród której lokalnych właściwości autor obraca się z fenomenalną bystrością.

Nie podtrzymuję zarzutu, postawionego Erenburgowi, że przepędziwszy świat przez burzące ognie szyderstwa, zdyskredytowałszy tyle instytucyj, sposobów rządzenia oraz intrygowania, na których opiera się współczesne życie, nie postawił pozytywnego programu nowej cywilizacji.

Owszem, raczej zgodzę się z autorem (rozdział jedenasty), że dostatecznym zadaniem czyjegoś dzieła może być odgrywane roli zjadliwego, dezynfekcyjnego lekarstwa. Jego książka jest w istocie puszką i to pokątną formaliny, już palącej się i rozszczepiającej gryzący dym. Trudno od kogoś, kto zdobył się na taki wysiłek niszczący, wymagać jeszcze sił na kojenie i leczenie zadanych ciosów.

Jeżeli przyjmujemy założenie, że najzjadliwsza satyra jest rzeczą zdrową — to musimy przyjąć i dalszą konsekwencję te-

go stanowiska i uznać, że wolno jest pisarzowi napisać tylko satyrę i na tem skończyć.

Naturalnie, że książka tak intensywno zjadliwa, jak Julie Jurenito, nie może być lekturą dla ludzi niedojrzałych i duchowo niesamodzielnych, bez względu na ich wiek.

Lecz fakt, że tacy ludzie są, i że czasem wpadają w ich ręce książki nieodpowiednie dla nich, nie może upoważniać nas do pragnienia, aby nie ukazywały się wcale książki, których zalety mają cechy niebezpieczeństwa, i które mogą być czytane tylko przez ludzi dojrzałych, a zarazem odważnych. Przez ludzi, którzy zdrowe lub cenne ziarno potrafią wydobyć nawet z dzieła, zatracającego paszkwilem — gdyż nie będąc nim, książka Erenburga stoi o włos od granicy, do której może posunąć się karykaturalna satyra — bez obudzenia niesmaku.

Metoda, zapomocą której Ilja Erenburg chce nas przekonać o marności naszej cywilizacji — jest nawskróś intelektualistyczna, podobna do metody, którą posługuje się niekiedy nauka. Mianowicie Erenburg eliminuje z rozległego przedmiotu swej quasi powieści wszystko, co mu nie jest potrzebne do postawienia między wierszami tezy, czy hipotezy o konieczności zniszczenia naszej cywilizacji.

Natomiast z chytrą zręcznością gromadzi te cechy, prawdziwie i doskonale podpatrzone, które jego mniemanie potwierdzają.

Na skutek tego wszystkie opisane przezeń osobistości, oraz ich imprezy są prawdziwe i wiarogodne — a jednak całość, z tego złożona, nie odpowiada, żadnej rzeczywistości — jest wyrozumowana, teoretyczna — naciągnięta do celów umysłowych.

Każda z rzeczy, które Erenburg opisał, jest jedną stroną wielooblicznych zjawisk, których istota ze względu na metodę, jaką przyjął, musi zostać przed nim zakryta. Trzeba o tem pamiętać, aby móc z pożytkiem i satysfakcją przepracować się przez te stronicie, pełne dowcipu ostrego, jak gilotyna — i aby nie zatruć się ich jednostronną złośliwością, ich goryczą, a także ich lekką tendencją obrażania przez satyrę, co nazwałabym już, chamstwem.

To załatujące chamstwo nadaje dziełu Erenburga pewien rosyjski charakter, któremu możnaby, jeśliby się uprzeć, przypisać wszystkie inne właściwości tej książki, co też niektórzy czynią.

Z taką samą jednak słusznością i zgodnie z tchnąciami lekką megalomanją wywodami samego autora (rozdział jedenasty) można burzące elementy książki Erenburga przypisać jego żydowskiemu pochodzeniu.

Lepiej przeto nie zapuszczać się w metafizyczne dziedziny rasy i zadowolnić się przypisaniem samemu autorowi wad i zalet jego dzieła.

Na zakończenie trzeba stwierdzić, że Juljo Jurenito budzi w najcelniejszych



swoich ustępach cierpkie potakiwanie, lub zimny, świadomy śmiech nad trafnością szyderstwa — nie budzi grozy, która powinna przecież iść od przedstawionej tam idiotyczności naszej cywilizacji. Wynika to stąd, że pomimo piękności i nieposzlakowanego arcyzmu kilku obrazów — książka jest mało artystyczna — o czym świadczy wspomniana poprzednio, a przyjęta przez Erenburga intelektualna metoda przedstawienia rzeczy. Dzieło to, (aby wyrazić się niekoniecznie ściśle, ale może jednak zrozumiale) nie jest zanurzone w soku życia. Nie słyszy się w nim szumu wieczności i łoskotu ludzkiego serca, który czyni dzieło pisarza słyszalnym przez stulecia.

To sprawia, że dobra skądinąd satyra Erenburga będzie dla wielu ludzi zagłuszona przez stare, przez bardzo stare i czasem o wiele mniejsze rozmiarami dzieła. — Przez gorzką satyrę cywilizacji — jaką dali — aby wspomnieć pierwszych, co na myśl przyszli — dziecięcy, a genialny stary Dickens — patetyczny, huraganowy Victor Hugo, nieprzyzwoity, brutalny, a tak poetyczny Villon i wreszcie Multatuli ze swym jednym zdaniem, rzuconym na tło gorących, podzwrotnikowych opowieści — i zamkniętem w słowa: „Nad morzem leży kraj rozbójników.“

M. Dąbrowska.

## Z KSIĄŻEK DLA DZIECI

H. Boguszewska i H. Koźniewska — „Historja jednego roku.“ Książka dla małych i dużych dzieci. Warszawa, r. 1925, str. 208.

W suterynie, w dużej kamienicy miejskiej, w starym dworku na wsi, na kolonjach miejskich i na lotnisku nad morzem pracują, bawią się i cieszą dzieci.

W mieście biegną do ogrodów, na wsi do lasów i na pola. Ileż ciekawych i upragnionych znajdują wszędzie zajęć!

Spojrzą niekiedy wkoło siebie, jakby chodziły w świecie baśni, rozmarzą się na krótko i znów wracają do czynnego, ruchliwego życia.

Zadnego z tych dzieci nie znamy dobrze, nie moglibyśmy wyróżnić ich charakterów. Znamy natomiast warunki, w jakich żyją, odczuwamy ich niedole i radości, widzimy je w ciągłych zatrudnieniach.

Wszystkie są zdrowe moralnie, odmaltowane w książce w sposób naturalny i prosty.

Mówią językiem właściwym swemu wiekowi. Czasami wprawdzie widać, że ten czy ów rys pejzażu, tę czy ową przenośnię buduje człowiek dorosły, do wspomnień

z dzieciństwa, łącząc późniejsze znacznie obserwacje.

Nie zmienia to jednak zasadniczego charakteru książki.

Każda pora roku, niekiedy nawet miesiąc ma swą fizjognomię wyraźną, niesie dzieciom nowe przeżycia i nowe doświadczenia.

Każde środowisko ludzkie ma także swoje odrębne właściwości, ujęte w rysach konkretnych i żywych.

Opisy przyrody, portrety zwierząt są niedy wykonane wprost po mistrzowsku.

Jakiż nastrój budzi taki np. obraz: „Czuł w tym bielonym, niskim pokoiku ten tak dobrze znany zapach dworku dziadów, po którym poznałby ten kochany stary dom nawet na końcu świata; trochę wapno, trochę świeży chleb, słoma...“

Gdzieś daleko gładze kura: ko-ko, ko-ko, ko-dak!

A w rogu pokoju brzęczy, a raczej piszczy komar czy mucha, cieniuteńko, jakby na jednej wysokiej strunie.“

Dzieci żyją w przymierzu ze zwierzętami. Jedna z bohaterki książki szczególną opiekę roztacza nad bezdomnym ptactwem, choć i zwierzątka polne czy leśne hoduje po koszykach, skrzynkach i słojach.

Autorka znakomicie oddaje bezpośredniość wrażenia, jakie wywierają na uważnym, skupionym dziecku, głodne bocianie piskłeta.

„Ułożywszy bocianięta, ciężkie i rozgniewane, poszłam po żywność dla nich. Na łączce w końcu ogrodu złowiłam żabę; żywą wyrwał mi z ręki jeden bocianiak i połknął w jednej chwili. Drugi syczał groźnie przez zamknięty, czarny dziób. Trzeba było złapać żabę i dla niego. Potem dla pierwszego, który przez ten czas poczuł się głodnym i syczał.“

Potem dla obu, bo były głodne i syczały.“

Kiedyindziej dziewczynka wykopała w ogródku pędraka, chce go dać psu, Bauzajowi, więc woła go do siebie.

„Bauzaj nie zwykł zrywać się i lecieć na wołanie. Wstanie i pójdzie, ale dopiero wtedy, kiedy będzie mu się tak podobało.“

Niema rady. Wanda niesie mu pod sam nos pędraka na łopacie.

— Masz Bauzajku, zjedz.

Bauzaj wstał na nogi — bo tak mu się podobało, powąchał. Nie zjadł go jednak — nie to, żeby całkiem odmawiał, ale poprostu nie lubi tego. A nawet właściwie: lubić to on lubi, ale poprostu brzydzi się pędrakiem. Kurczy wargi, odsłania zęby, wykrzywia się, wymawia, odwraca głowę, wykręca — i nagle zjada pędraka, i kładzie się spać na drugi bok.“

Takich plastycznych i żywych obrazków jest w książce sporo. Czyta je z zacięciem dziecko, z większym jeszcze człowiek dorosły.

A teraz słów kilka o kompozycji książki. Składają się na nią krótkie opowiadki, stanowiące zamkniętą całość i dlatego można ją czytać z osobna.

A jednak czytelnik zmuszony jest pamiętać imiona młodych bohaterów, o których była mowa w rozdziałkach wcześniejszych. Poznał ich imiona, otoczenie, przygody, ale charakterów ich nie wyróżnił.

Brak fabuły powieściowej utrudnia grupowanie w pamięci materiału narracyjnego.

Dorosły czytelnik musi szukać nieraz po książce, żeby zebrać w myśli wszystko, co dotyczy pewnej grupy dzieci (jest tych grup kilka). Dziecko zmęczy się przypomnianiem tego, co już słyszało o Franku czy o Halince.

Jest to niewątpliwie wada konstrukcji. Jakże chętnie jednak wybaczymy ją autorom za bogactwo obrazów z życia przyrody i dzieci.

Szkoda, że wydano książkę lichy pod względem graficznym, w szablonie wypisów szkolnych czy wydawnictw popularnych. Szablon ten utrudni czytelnikom dostęp do tej ciekawej i oryginalnej publikacji.

Jakże miłym mogłaby się stać podarkiem świątecznym, gdyby nie jej codzienność, wytarta sukienka.

Ale trudno. Niech idzie na razie w stroju kopcuszka między dzieci i ich dorosłych przyjaciół.

Z. Szmydtowa.

## „Rozrywki umysłowe“

(pod redakcją K. Gilewicza)

Rozwiązanie figielka rebusowego, zamieszczonego w Nr 19 „Bluszczu.“

### „NIEWIASTA ZAKATARZONA“

Trafne rozwiązanie w terminie oznaczonym nadesłali: pp. Albin Bukowiecki, Piotr Choiński i Wincenty Pietraszkiewicz z Warszawy; Zofia Zawiślanowa z Biłgoraja; Kosicka z Dębina; Irena Wipszycka z Konina; J. Chodaczyńska z Końskiego; Michalina Dworska ze Lwowa; Wiktoria Jaźwińska z Równego i Emilja Bochmowa z Nowych Wilków.

Nagrodę otrzymuje p. Kosicka z Dębina. (Prosimy o dokładny adres).

Mylne rozwiązanie rebusu: „Nychodząc zamąż, kobieta poświęca (daje) swe życie mężowi; „Śmierć“ żona kata“ i „Zakochana.“

### ODPOWIEDZI:

P. Ir. Wipsz. z Kon. Zamieścimy w innym układzie ilustracyjnym.

K. Gil.





# ELEGANCKI ŻAKIECIK SZYDEŁKOWY

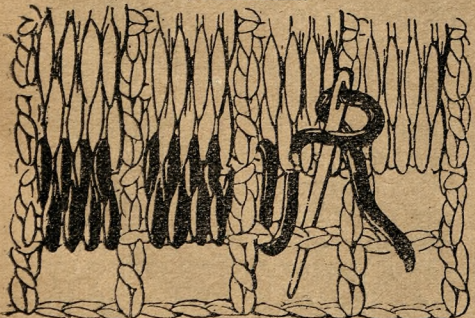
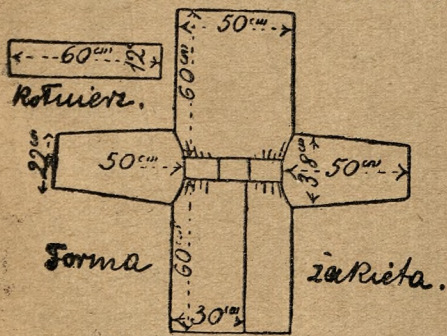
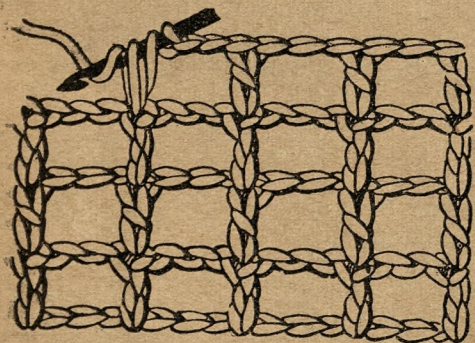
Tegoroczne chłodne lato robi aktualną i nieodzowną modę jedwabnych i wełnianych kamizelek i żakietów. To eleganckie ubranie, którego oryginalność i kolorowość bajeczna nie zawsze jest na miejscu w mieście zawsze nadaje się do pobytu na świeżym powietrzu, gdzie, nie stanowiąc wielkiego stroju, ciągle daje się zastosować. Przemysłna moda urozmaica w sposób dowcipny ścięgi odcienia i formy tych okryć, tak aby robota ciągle ta sama robiła wrażenie czegoś dotąd niewidzianego, jak to rys 1 przedstawia. Żakiecik ten jest zrobiony szydełkiem, słupkami systematycznie oddzielanymi od siebie

ny dodać można nitkę jedwabiu, jego blask [bowiem bardzo podnosi efekt całości. Połączenie kolorów czarnego z białym bardzo jest dystygowane, nie mniej jednak ładnie wygląda zestawienie modnych barw: pistacjowej z brązowym, piaskowej z hawanna, białej z cyclamen, granatowej ze złotą. Do takiego kaftanika ślicznie wygląda spódniczka w odpowiednim kolorze cała drobno plisowana.

Żakiecik, o ile nie zależy na oszczędności, można podbić crêpe de chine'ém, lub fularkiem w kolorze odpowiednim, lub białym, który zawsze wygląda elegancko i dobrze się pierze.

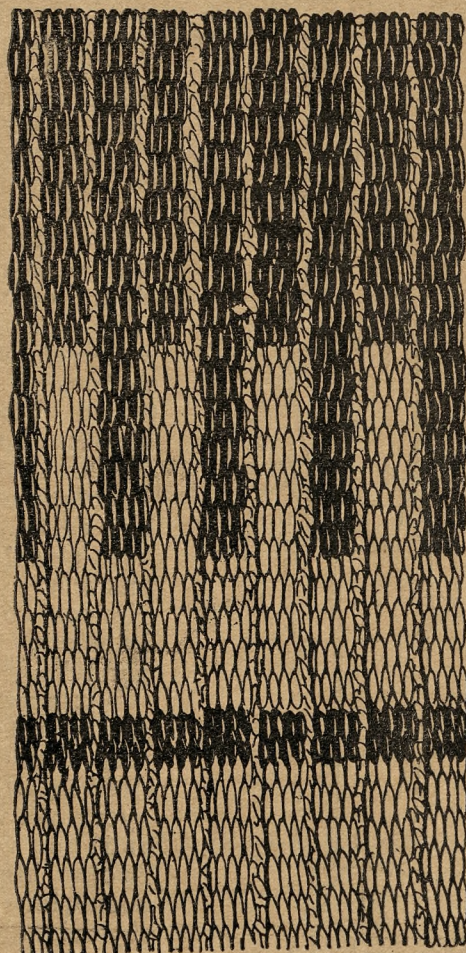


Rys. 1



Rys. 2

oczkami na powietrzu. Na tem tle, tworzącem kwadraciki, jak w siatce, ceruje się, dobierając dowolnie deseń i kolory (rys. 2 i 3). Do weł-



Rys. 3



## L A T O...

Magiczne słowo, rozświetlające w wyobraźni naszej cudny miraż wypoczynku, kontaktu z najwyższymi wartościami życiowymi, z pięknem natury, zbawczym jej wpływem, budzącym w biednej, znękaney szarzyznę miejskiego życia duszy ludzkiej wlot ku pięknu!

Szczęśliwy ten, komu danem jest wyrwać się na taki „urlop” życiowy, kto zostawić może za sobą Golgotę codzienności, w orszaku przyziemnych i małych, a najdokuczliwszych trosk dni, co płyną, jak woda, a na fali swej niosą nas i niosą miarowo i nieubłaganie ku temu jedy-nemu, co nigdy nie zawodzi. Lato, nio-sące w płaszczu swym godowym cud-

ny blask rozświetlanych zorzą poranków, hymn na cześć wieczystego piękna ziemi, przez chóry ptasząt śpiewany, smugi

z a p a c h ó w od akacji, lip i łąk koszo-nych, płyną-ce. L a t o, barwne, so-czyste, słod-kie posma-kiem owo-ców, dojrze-wających w słońcu, zło-te od zbóż, wiatrem ko-łysanych, rozśpiewane b r z ę k i e m kos, pieśnią ż n i w i a r z y, wieńcem róż oplecione i wonne!

Wystarczy przy m k n ą ć oczy prze-nieść się siłą wyobraźni w królestwo Twoje bło-gosławione, aby opłynęła nas f a l a barw, dźwię-ków i woni,

aby obudziła się ze snu, zma-towana życiem i pracą znojną, miłość i żądza, żądza zanurzenia się w Twojej rozkosznej fali do bez-pamięci, do szału!

Trzeba jednak, niestety, w życiu zawsze oddawać co boskie Bogu, a co ludzkie ludziom! To też i z kra-iny marzeń, nastroi i smug woni upojnych, wyjść musimy naprze-ciw latu, uzbrojone w przyziemność i ujmujące praktycznie całą jego bujną poetyczność!

Najpierwsze pytanie, jakie na-suwa się każdej z nas, dokąd skie-rować swe kroki pielgrzyma idące-go ku słońcu, rozstrzygnąć musi każda indywidualnie! Jednym zesłał los na życia ścieżkę miłe zaproszenie, a krótki urlop w świe-tle takiego rozkosznego bytowania w ciszy i dobrobycie wiejskiego dworu, gdzie zagnieżdżone w dzi-kiem winie, oplatającem ściany do-mu, wróble, budzą z rannego snu i ćwierkaniem swem radosnem sła-wią urok dnia, co idzie, beztróskie-go dnia, w ramę z ognistych pe-largonji, cudnie wonnych róż, pa-stelowych groszków pachnących ujętego! Na luksus ten, pozwolić sobie mogą te z nas, które w peł-ni młodości sił, nie wiedzą jeszcze, co znaczy mus połączenia w okre-sie wywczaśów letnich koniecznoś-ci ratowania zdrowia wraz z wy-poczynkiem! Wówczas krokom na-szym drogowskazem jest niestety,

czynek, a co gorszenie tułać się z bagażem po morskiem wybrze-żu, czy górskich domkach i wil-lach, bez dachu nad głową, zmuszo-

nym wresz-cie zapłacić drogo za mi-nimum wy-gód, byle się, gdzieś schro-nić! Drugie, to zacząć przygotowa-nia do wy-jazdu wcześ-nie, a przez to unikać go-rączkowego nastroju, któ-ry tak bar-dzo zmniej-sza skalę ra-dości i roz-koszny z naj-miliej się za-powiadające-go wyjazdu. Trzecie, nie obarczać się nadmiernym bagażem, za-bierając rze-czy prawdzi-wie potrzeb-ne, a unika-jąc tysiąca drobnostek, które najczę-

nie miłe za proszenie, lub ciąg ku górom, czy morzu, ale or-dynacja lekarza, ska-zującego nas niejed-nokrotnie na spędzenie lata wbrew upodobaniom ichęci. Kto jednak, zdrow na ciele, duszy i kieszeni, bogaty nie-zależnością, która pozwala mu wybie-rać wśród wielu roz-koszny, nie wybierze kontaktu z falą morską, która splucze z ciała i duszy szarą smugę dymów i ku-rzu miejskiego.

Z ogólnie praktycz-nych wskazówek, ty-czących się przygo-towań letnich, chcia-łabym zwrócić uwa-gę na najważniejsze!

Obmyśleć zawcza-su miejsce, w którym lato spędzić zamie-rzamy, przekores-pondować i zapew-nić sobie locum, aby potem nie tracić cen-nego czasu, przema-







stjumie kąpielowym, płaszczu i czepczku gumowym, ale są to rzeczy, którym pragnę poświęcić nieco więcej miejsca i dlatego zostawiam je na sam koniec.

Co do kapeluszy, sędzę, że jeden jakiś lekki, zbliżony typem do tak ładnych, niedrogich, a praktycznych kapeluszy włoskich, plecionych fantazyjnie ze słomy, dobrze ocieniający, a w tonie neutralnym i zgadzającym się z każdą suknią, drugi śliczny i tak bardzo modny pilśniowy, do płaszcza, czy kostjumu, wystarczą zupełnie. Wybierając się nad nasze morze, trzeba zrozumieć, że zbytnia, wyszukana elegancja,



ściej nie wyjrzą nawet na światło dzienne z głębi kufrów, a tak bardzo powiększają objętość takowych. No i jeszcze jedno, co obawiam się, nie znajdzie posłuchu, wnieść w zabierane ze sobą toalety, jak największy pierwiastek skromności, tak w jakości, jak i ilości. Dzisiejsza moda, upraszcza niebywale zastosowanie się do rady, jaką pozwoliłam sobie wypowiedzieć! Skromne, gładkie sukienki, upiękzone zaledwie barwnym, skórzonym paseczkiem, żabotem czy kamizelką, zrobione z materiału łatwo się piorącego, są estetyczne, nie pozbawione specjalnego „cachet”, a mają ten wielki plus, że miejsca zajmują tyle, co nic i łącznie z bielizną, przeznaczoną na kilkotygodniowy pobyt, pomieszczą się bezwzględnie w kufierku ręcznym, a tem samem pozwolą uniknąć kosztu i trudu wzięcia ze sobą bagażu.

Sześć takich sukienek, z których dwie strojniesz, w przewidywaniu jakiegoś reuionu, a cztery zupełnie gładkie i proste, z eponge'u, tak bardzo praktycznego, bo nie wymagającego spodu, woalu, lub surowego jedwabiu, czy płótna merseryzowanego, na to palto gabardinowe, lub jedwabne; jeden kostjum tailleur, parę jasnych bluzek, oto i kompletnie wystarczający rynsztułek, nad nasze morze. Ma się rozumieć, że pomyśleć wypada, i to pomyśleć w pierwszej linii, o ko-

lenie tej, która go nosi i tym, co patrzą na nią.

tak dobrze pasująca do zimowych wyczasów na południu, jest nie tylko zbędnym ciężarem dla nas samych, ale i rażąca nad wyraz dla otoczenia. Przytem brak odpowiedniego pomieszczenia na rzeczy, które przeważnie pozostają w kufrze, lub wiszą na ścianie, okryte prześcieradłem, trudność w odprasowaniu ich, lub odświeżeniu, wobec prymitywnego pokroju służby i urzędzeń, nie nadają się zupełnie do zbytłownych stroi.

Na wybrzeżu naszym panuje swoboda i tylko skromny, a utrzymany w linii i dostosowany do typu strój wywołać może wrażenie harmonji i dać estetyczne zadowo-

lenie tej, która go nosi i tym, co patrzą na nią.

Kostjумы kąpielowe są z każdym rokiem bardziej wyszukane, skombinowane i strojne. Dawniejszy, zwyczajny trykot, zniknął prawie z powierzchni, zostawiamy go dzisiaj mężczyźnie, przyodziewając kształty nasze w jedwab surowy, sztuczny, lub naturalny, przyozdobiony haftem, aplikacjami, guziczkami, kolorowemi tasiemeczkami i t. d.

Zneutralizowanie plaży, wspólna kąpiel, która jest dzisiaj objawem codziennym, poprzedzająca kąpiel morską, czy też rzeczną, kąpiel słoneczna, której oddaje się zwykle całe zaprzyjaźnione koło, urozmaicając ją sobie pogawędką, wniosły w dziedzinę kostjumu kąpielowego dużą dozę wyszukania i starania. Inaczej ujmowano taki kostjum, który służył jedynie do zanurzenia się w wodzie, a w drodze z kabiny i do kabiny krył się pod płaszczem kąpielowym, inaczej ujmujemy go dzisiaj, kiedy po pierwsze nikt nie słyszał na wybrzeżu naszym o kabinach gdzie wszystko odbywa się na odkrytym piasku, a tylko dyskrekcja i pomoc wzajemna pod postacią przenośnych ścian z płaszczy kąpielowych, chronią nas od zbytnej ciekawości niepowołanych.

Kostjумы nasze w tym roku dzielić się będą na dwie kategorie. Kostjумы, przeznaczone do pławienia się w słońcu i złocistym piasku



wybrzeża i tutaj rozwiniemy całą naszą finezję i gustniezaprzeczony, łącząc barwy, dobierając desenie i formy, kształtom naszym odpowiadające, drugie kostjumy przeznaczone do właściwej kąpieli i kontaktu z falą morską. W tej dziedzinie, najmodniejszym będzie kostjum z popielatej gumy, który piękne kształty kobiece upodobni nimfie wodnej.

Kostjumy plażowe składać się będą przeważnie z dwóch części, to znaczy ze spodenek i bluzeczki, która takowe przykrywa, lub też dla śmielszych, nie krępujących się zbyt obnażeniem z jednolitego trykotu jedwabnego, sięgającego do ud, a strojnego haftem barwnym, lub aplikacjami w najróżnorodniejszych deseniach.

Główki nimf wodnych przystrojone będą w czepeczki z jedwabistej gumy, misternie upinane, a kryjące włosy od zamoczenia, nóżki w sznurowane na łydce, śliczne, gumowe pantofelki, które łatwo znaleźć w kolorze kostjumy, gdyż wybór ich jest wielki.

Kostjumy dziecinne pozostaną proste w linjach i odsłaniające jak najwięcej ciała, na które tak zbawiennie działają słoneczne promienie. Ozbodimy je jedynie jakimś motywem barwnie haftowanym, n. p.; serduszkami, złotą rybką, rakiem, którego wesoła czerwień pełznąć będzie po czerni trykotu, motylem grającym w słońcu barwnymi skrzydłami etc.

Nie wolno pominąć milczeniem, ani też zbagatelizować, płaszcz kąpielowego!

Musi on być kształtem modną „cape” naśladowujący, a z barwnego eponge'u zrobiony, nosi charakter prędzej okrycia, niż kąpielowego prześcieradła tak dawniej prymitywnego i prostego!

Eponge na płaszcz jest w wielkim wyborze, piękny w barwach i deseniach. Widuje się też i gotowe płaszcze, niezwykłych, a ładnych i eleganckich fasonów.

W każdym razie jadąc nad morze, trzeba zabrać ze sobą cały rynsztunek kąpielowy, inaczej zmuszone będziemy zaopatrzyć się w potrzebne nam rzeczy w Gdańsku, co bynajmniej nie jest wskazaniem. Nasze miejscowości kąpielowe, są jeszcze zbyt sielsko anielskie, aby można marzyć o znalezieniu tam magazynów, które przystroiliłyby godnie córę Syreniego Grodu.

Kobieta, kobieta Polka, winna nie rozstawać się nigdy z poczuciem umiaru, który takie wielkie przynosi jej zawsze usługi. Lato, swoboda, jaką zabarwione są zawsze stosunki, zawiązywane na plaży, w górach, czy na wsi, upoważniają do pewnego też

koleżeństwa i odrzucenia form zbyt krępujących, jest to jednak droga, po której szlaku kroczyć trzeba oględnie i tak zachowaniu swemu, jak i ubraniu, a raczej, darujcie, rozebraniu, folgować można do pewnych tylko granic, o ile się chce nie zatracić uroku!

W słońcu obrazów, jakie mimowoli narzuciłam swej wyobraźni, pisząc o rozkoszach lata, moralizatorstwo dziwnie fałszywą dźwięczy nutą, a zatem na zakończenie, powiem tylko jedno jeszcze śmiało może, ale prawdą tchnące niezbitą.

Na wybrzeżu morskiem, gdzie więcej będzie okazji, niż w sali balowej, do umiejętnego podkreślenia wdzięków, pamiętać trzeba, o najważniejszym! Nie rzucać w twarz słońcu, a bliźnim przed oczy brzydoty. Trzeba znać siebie i wiedzieć dokładnie, na co ważyć się można, trzeba umieć też zdobyć się na filozoficzne westchnienie i wierząc słowom poety, który mówi:

„Przeżytych kształtów żaden cud  
nie wskrzesi do istnienia!”

zarzucić na ramiona płaszcz i osłonić nim umiejętnie przeszłość, którą nie zawsze dobrze jest wieść przed forum publiczne.

A teraz u progu słonecznej drogi, życzenie, z głębi płynące serca! Odrzućcie od siebie wszystko złe, niech troska, nieodstępna nasza towarzysza zostanie poza wami, skryje się w mroku, zabezpieczonego na sen letni mieszkania. Największym bodaj rozumem życiowym jest umieć korzystać z chwili i brać czar życiowy, jeżeli go napotkamy, bez zastrzeżeń!

Gdy troska zaśnie, nie budź jej!  
W życiu goryczy tyle,  
Najgorsze zło wypływa z niej,  
Gdy troska zaśnie, nie budź jej!  
Wesel się tedy, szalej, śmiej,  
Tak rzadkie są to chwile,  
Gdy troska zaśnie, nie budź jej!  
W życiu goryczy tyle!

W.

## HIGJENA DZIECKA

Ponieważ zdrowie dziecka jest zależne od zdrowia matki jeszcze przed jego urodzeniem, będzie tedy zupełnie logicznym, aby wykład o higienie dziecka poprzedził rozdział o higienie ciąży.

**Higiena ciąży.** Przebieg ciąży ma bezwzględnie wpływ na zdrowie dziecka, to też matka, która dba o przyszłość dziecka, powinna myśleć o jego zdrowiu jeszcze przed jego urodzeniem. Macierzyństwo jest naturalną czyn-

nością organizmu, dającą kobiecie pełnię zdrowia moralnego i fizycznego, ciąża więc nie jest chorobą, z chwilą jednak poczęcia w organizmie matki powstają znaczne zmiany, gdyż pewne organy dotąd nieczynne pobudzone są do życia i rozpoczynają swoje czynności.

Zapoznanie się z temi zmianami, a w związku z niemi z racjonalnymi przepisami higieny chociażby w najogólniejszych zarysach może uchronić zarówno matkę, jak i dziecko od różnych niedomagań, a nawet niebezpieczeństw.

Oto najważniejsze zmiany powstające w ustroju ciężarnej:

Macica, rozrastając się, uciska jelita. pęcherz, jelito stolcowe, co może powodować pewne utrudnienia w normalnym funkcjonowaniu tych narządów (organów), zwłaszcza jelit. Dlatego ciąża nierzadko bywa przyczyną uporczywego, a nawet dokuczliwego zatwardzenia (obstrukcji).

Rozrastająca się macica odsuwa żołądek ku górze, ku przeponie brzusznej (djafragmie), która również zostaje zepchnięta ku górze. Wywołuje to zmiany w oddechaniu: oddech staje się krótszy i przyspieszony.

Wreszcie matka musi dostarczyć małej istocie materiałów niezbędnych do jej budowy wyłącznie kosztem własnych tkanek.

Jeżeli do tej wzmożonej pracy fizjologicznej narządów dodać jeszcze różne zaburzenia, powstające wskutek zmian w składzie i obiegu krwi, oraz wskutek niedostatecznego wydalania produktów przemiany przez nerki i jelita, to łatwo zrozumieć, że we krwi ciężarnej mogą się gromadzić różnetoksyny (związki trujące), które obniżają odporność organizmu. Aczkolwiek więc ciąża, jako taka nie jest stanem chorobowym i naogół wywiera na zdrowie kobiety wpływ dodatni, to jednak nie da się zaprzeczyć, że w pewnych przypadkach organizm zmuszony do czynności nadmiernie wzmożonych może osłabnąć i ulec chorobie.

O tem szczególnie pamiętać powinien jednostki, które w normalnych warunkach miały zdrowie delikatne. Nierzadko też ciąża bywa bodźcem do rozwoju pewnych chorób, jakoto: gruźlicy, cierpień sercowych, wątrobianych, nerkowych i t. d. Zaburzenie, wywołane przez samozatrucie w czasie ciąży (białkomocz, hysterje, płasawica) zagrażają życiu matki i są przeważnie zgubne dla życia dziecka. Wobec tych niebezpieczeństw przyszła matka powinna przestrzegać przepisów higieny od chwili poczęcia, a



przedewszystkiem zasięgnąć rady doświadczonego lekarza.

**Higijena odżywiania.** Rozwój płodu kosztem ustroju matki stwarza potrzebę odpowiedniego odżywiania ciężarnej — nie znaczy to oczywiście, że przyszła matka ma jeść za dwoje: pojemność jej żołądka nie powiększa się wskutek ciąży, chodzi tu zatem nie o ilość, lecz o jakość pożywienia. Od dawna stwierdzono, że wątłość wrodzona noworodków wynika najczęściej z nędzy fizycznej rodziców. Niedostateczne odżywianie się matki w ciąży nie tylko naraża zdrowie noworodka, lecz może pozbawić dziecko życia, zanim przyjdzie na świat. Zauważono, że poronienia występowały częściej w czasach obłążeń, drożdżyny i wielkich nieurodzajów. Niedostateczne odżywianie powoduje często niepłodność. Niemożliwą jest rzeczą przedstawić ogólny schemat odżywiania kobiet ciężarnych. Z konieczności bowiem musi być ono rozmaite dla różnych kobiet. Inną powinna być racja dzienna dla kobiet, które mogą zażywać odpoczynku, inną dla pracujących ciężko, inną dla matek, które są jeszcze w okresie rozwoju fizycznego. Ażeby zadośćuczynić potrzebom organizmu w związku z wzrostem i rozwojem płodu, powinno się dobrać racjonalne pokarmy tak, ażeby przy najmniejszej objętości mogły dostarczyć jak najwięcej energii — to znaczy, aby były jak najpożywniejsze. Trzeba unikać wszelkiego przeładowania, trudzenia żołądka, który i tak w czasie ciąży bywa często kapryśny. To maximum pożywienia przy minimum objętości znajdziemy w mięsie, jajach pod wszelkimi postaciami, w potrawach mącznych, we wszelkich potrawach mlecznych. Trzeba tu dodać jarzyny świeże, gdyż na równi z owocami surowymi, czy też w kompocie zapobiegają obstrukcji, która w czasie ciąży zdarza się częściej i może być nawet niebezpieczną. (Kapusta, buraki, szczaw, grzyby powinny być używane w małych ilościach). Ażeby nie dopuścić do samozatrucia, trzeba się wystrzegać potraw korzennych, surowizn, zwierzyny, ostrych serów i t. p. Wszelkie napoje alkoholowe, mocna kawa i herbata działają podniecająco i są szkodliwe.

**Zaburzenia w trawieniu.**  
1) Rozwolnienie — biegunka powinny być energicznie zwalczane od samego początku zwykłymi środkami: odpowiednia dieta, ewentualnie w porozumieniu z lekarzem opium (makowiec), które ciężarne naogół znoszą dobrze 2) Zatwardzenie

— obstrukcja — spotyka się o wiele częściej z powodu nacisku, jaki macica wywiera na jelita. Trzeba się wystrzegać silnych środków przeczyszczających, aby nie wywołać przedwczesnego porodu, należy stosować środki łagodne, a jeszcze lepiej odpowiednio urozmaicić odżywianie — doskonale np. reguluje czynności jelit kompot ze śliwek. Można też używać lewatywy — najlepiej stosować ją zawsze o tej samej porze, aby przyzwyczać jelita do regularnego wypróżnienia.

**Odpooczynek — praca.** Praca ciągła, wytężona powinna być wykluczona w życiu ciężarnej. Pociągająca ona za sobą wyczerpanie ośrodków nerwowych, samozatrucie przez produkty przemiany materji, które niedość szybko się wydalają i wreszcie zaburzenia w składzie i obiegu krwi. U kobiety ciężarnej powyższe sprawy fizjologiczne są spotęgowane w związku z wytwarzaniem się substancji trujących w krążeniu łożyskowym. Liczne spostrzeżenia wskazują, że zawód matki ma wpływ na wagę i siły dziecka przy urodzeniu, jak również jej wypoczynek, szczególnie w ostatnich miesiącach. Oto kilka liczb dla zilustrowania powyższego (wyjęte z książki: *Hygiene du premier âge* — Dr. Lassablière).

Waga przeciętna noworodków, których matki miały lekką pracę bez wypoczynku do ostatniej chwili: 3.213 gr.

Waga noworodków, których matki pracowały w tych samych warunkach, ale odpoczywały, przed porodem: 3.520 gr.

Waga noworodków, których matki ciężko pracowały (na stojąco) do ostatniej chwili: 2.851 gr.

Waga noworodków, których matki pracowały w tych samych warunkach, ale odpoczywały przed porodem: 3.084 gr.

Odpooczynek ma również wpływ na czas trwania ciąży, a temsamem na zdrowie dziecka, które tem jest silniejsze, im dłużej przebywa w łonie matki. Otóż zaobserwowano, że czas trwania ciąży u kobiet, które pracowały do ostatka, był przeciętnie 248 dni, a u tych, które odpoczywały 270.

Liczyby powyższe dobitnie wskazują na konieczność odpoczynku, a w każdym razie umiarkowanie pracy w czasie ciąży.

Tu trzeba dodać, że pewne ćwiczenia fizyczne, uważane naogół za zdrowe, powinny być wykluczone w czasie ciąży np: jazda konna, tenis, jazda na rowerze, taniec, wogóle wszelki gwałtowny ruch. Trzeba się go specjalnie wystrzegać w okresach, odpowiadających perjomom (menstruacji). Ruch umiar-

kowany na świeżem powietrzu — spacer pieszy, a także jazda ekwipażem, byle spokojna są wskazane.

**Ubranie.** Ubranie powinno być ciepłe, dla uniknięcia zaziębienia, a przedewszystkiem obszerne, aby nie utrudniało ani oddychania, ani też krążenia krwi. Naturalnie dla tych powodów gorset powinien być bezwzględnie odrzucony. Używanie gorsetu powstrzymuje rozwój macicy, wpływa na przyspieszenie porodu i utrudnia sam poród. Zamiast gorsetu, szczególnie przy drugiej i następnych ciążach można, a nawet dobrze jest nosić specjalny pas- elastyczny, rozciągliwy, nie tamujący rozwoju macicy i gruczołów piersiowych. Szkodliwym jest noszenie podwiązek, opasujących nogę pod kolanami, bo te utrudniają krążenie krwi, lepiej jest używać podwiązek, idących od pasa i przymocowanych po bokach, aby w żadnym razie nie uciskały przedniej ściany brzucha.

**Czystość —** Zwykłe zabiegi hidropatyczne, mające na celu utrzymanie czystości ciała, (kąpiele, obmywanie) można bez obawy stosować w czasie ciąży. Kąpiel o temperaturze 30° — 35° Celsjusza (24° — 28° Reaumira) nie powinna trwać dłużej jak 15 minut — można się kąpać co tydzień. W ostatnich miesiącach można się kąpać częściej: co 4, a nawet co 3 dni; Kąpiele wpływają dodatnio na elastyczność skóry; pod wpływem kąpeli tkanki stają się bardziej podatne, co ułatwia wydalanie płodu. Prysznic, zimne kąpiele rzeczne, lub morskie nie są wskazane, dopuszczalne są jedynie dla osób, które również przed ciążą stale ich używały i są do nich przyzwyczajone. Organy płciowe zewnętrzne powinny się obmywać codziennie bardzo starannie. W pewnych przypadkach (np. większe upały) mogą być potrzebne przepłukiwania wewnętrzne, ale tych bez specjalnego zalecenia i wskazówek lekarza nie można stosować.

Tutaj też wspomnieć trzeba o przygotowywaniu gruczołów piersiowych i sutek do przyszłego karmienia. Należy przystąpić do tego mniej więcej około 6 — 7 miesiąca ciąży. Ma ono na celu zapobieganie pękaniu sutek (brodawek) i innym dolegliwościom, które są nieraz bardzo dotkliwe.

Przygotowanie to polega na codziennem obmywaniu sutek (brodawek piersiowych) mieszaniną z równych części gliceryny i wody kolońskiej: w ostatnich miesiącach dobrze jest nacierać gruczoły piersiowe wodą kolońską lub wódką 60%. Naciera się palcem, pokrytym



płatkami płóciennym lub zwitkiem waty. O ile brodawki są mało rozwinięte, wskutek czego mogą być mało chwytne dla przyszłego dziecka, można do pewnego stopnia wpływać na ich rozrost przez lekkie pociąganie i miesienie (masowanie) między palcami.

Na zakończenie tego krótkiego zarysu higieny ciąży należy dodać parę wskazówek, dotyczących przygotowań do porożenia. Przygotowania te trzeba zrobić zczasu, gdyż niepodobna nigdy określić napewno daty urodzenia dziecka, a zupełne nieprzygotowanie może pociągnąć opłakane skutki.

Pokój, przeznaczony na odbycie porożenia, powinien być utrzymany w jak największej czystości, bez miękkich mebli i dywanów, które są zbiornikiem kurzu.

Przedmioty niezbędne podczas i zaraz po porodzie.

2 prześcieradła.

1 funt waty higroskopijnej.

Parę metrów wyjałowionej gazy.

Parę wyjałowionych serwetek.

$\frac{1}{2}$  metra podkładu gumowego,

30 gr. kwasu bornego.

1 tuzin małych agrafek,

jodyna,

spirytus 90%

2 miednice.

Szczoteczka do paznogi.

Imbryk lub czysty rondel do gotowania wody.

Pudełeczko waseliny.

Wyjałowiona tasiemeczka (dla dziecka).

## WODA W OGRODZIE

Wszystkie rośliny potrzebują do pomyślnego rozwoju dużej ilości wody w okresie wzrostu. Wilgoć i równomierne ciepło — to dwa główne czynniki, które oddziaływały na szybki i równomierny wzrost roślin, stąd też wzięło początek przysłowie: warzywa jak drzewka, gdy dobra podlewka.

Istotnie, na wytworzenie jednej cząsteczki masy suchej, zużywają warzywa w ciągu jednego okresu wegetacyjnego, 300 do 400 cząsteczek wody (na wagę). Tak samo, albo przynajmniej podobnie zachowują się inne rośliny, więc łatwo sobie zdać sprawę z tego, ile wody trzeba dostarczyć im, jeśli zastanowimy się nad ilością produktu, sprzątanego z danej przestrzeni, albo nad ilością masy zielonej, wytwarzanej przez rośliny.

Zaopatrywanie roślin w wodę może się odbywać dwojako; drogą magazynowania zapasów wody w gruncie z opadów atmosferycznych

i następnie umiejętnego gospodarowania zasobami tej wilgoci, albo za pomocą dostarczania sztucznie wody, czerpanej z zewnątrz.

W przeważnej części kraju naszego ilość opadów atmosferycznych wynosi około 50 cm. rocznie, t. j. tyle ile potrzeba do pomyślnego rozwoju większości naszych roślin uprawnych. Ale trzeba te opady umiejętnie gromadzić w ziemi i zabezpieczać od parowania. O tych metodach pomówimy osobno. Jednak zapobiec zupełnie stratom wilgoci nie mamy możliwości, więc zależnie od warunków miejscowych, mogą rośliny uprawne odczuwać mniej lub więcej dotkliwie brak wody, zwłaszcza jeśli natrafiają na długotrwały okres suszy. Ziemię przepuszczalną szybciej wyzbywają się wilgoci, niż ziemię zwięzłą, ale też łatwiej wchłaniają wodę nawet wtedy, gdy silnie wyschną. Ziemię, spoczywającą na podglebiu przepuszczalnym (piasek, żwir i t. p.) będą szybko wysychały, niż na podglebiu spoistym.

Żeby zapobiec złym skutkom suszy, możemy w sprzyjających okolicznościach zaopatrywać rośliny w wodę sztucznie, za pomocą polewania ziemi konewką, czy kiszka, gdzie mamy odpowiednie ciśnienie, a w rozleglejszych plantacjach warzywnych niekiedy za pomocą zalewania pewnych przestrzeni. Jest to jednak czynność kosztowna, zwłaszcza że podlewanie musi być dokonane obficie, aby przyniosło korzyści spodziewane. To też, wobec braku odpowiednich urządzeń, u nas polewanie warzyw bywa stosowane prawie wyłącznie przy uprawach amatorskich. Natomiast uprawy kwiatowe bez regularnego polewania istnieć nie mogą.

Najlepsza do polewania jest woda z rzek (jeśli jej nie zanieczyszczają odpływy fabryczne), woda ze stawów, lub deszczówka. Świeżej wody studziennej nie należy używać do polewania, gdyż jest zimna i pozbawiona powietrza. Powinna

być zczasu nalana do szerokiej, płaskiej kadzi, dołu cembrowanego lub beczki, i użyta dopiero po 24 godzinach, żeby się nagrzała i nabrała powietrza. Do użytku domowego należy koneweczkę napełniać bezpośrednio po polewaniu i do dnia następnego trzymać ją w miejscu ciepłym, względnie wystawioną na działanie promieni słonecznych. Właściwości wody twardej można poprawiać, dodając do niej szczyptę wapna niegaszonego, albo trochę guana lub pomiotu ptasiego. Woda, odpływająca z drenów, jest zupełnie przydatna do polewania roślin. Natomiast unikać trzeba wody z bagnisk i z kwaśnych stawów.

Zapotrzebowanie wody przez poszczególne gatunki roślin jest różnorodne: jedne potrzebują częstego podlewania, inne zadawają się znacznie mniejszą ilością wody. Pierwsze z nich przy braku wody przestają rosnać, więdną, nie kwitną ani nie wykształcają należycie tych części, o które nam w hodowli chodzi: drugie zaś gniją, jeśli się je zbyt obficie polewa. Kto się nie zna zupełnie na uprawie roślin, ten podleje tak samo cebulę, jak kapustę lub kalafiory; inny, idąc wzdłuż zagona z konewką, zrosi tylko ziemię powierzchownie, ale jej nie nasyci wilgocią, zaś niewiele osób wie o tem, że źle wykonanym podlewaniem może przynieść więcej szkody, niż pożytku, pomijając stratę czasu i koszty wykonania roboty. Weźmy przykład. Oto nawieźliśmy jesienią obficie ziemię, i przekopaliśmy na całą łopatę, czyli nawóz jest przykryty warstwą ziemi, grubości około 15—20 cm. Na tych zagonach sadzimy kalafiory. Przypuśćmy, że natrafimy na lato bardzo suche i nasze kalafiory są skazane na korzystanie z tych tylko zasobów wilgoci, które im dostarczymy przez podlewanie. Jeżeli tę czynność wykonamy pobieżnie, będziemy chodzili wzdłuż zagonów, lejąc tyle, żeby tylko powierzchnia ziemi zwilgotniała, wtedy w najlepszym razie przesiąknie ziemia na głębokość 5 cm. Wiadomo, że jeśli korzenie znajdują wilgoć na powierzchni, to się w suchą ziemię nie zagłębią. A jaki skutek tego? Oto taki, że leżący głębiej nawóz nie przegnije, korzenie go nie osiągną, nasze kalafiory będą rosły powoli z przewami, jak na gruncie niemierzwiowym i nie wykształcą dorodnych róż, lecz drobne, luźne, małowartościowe. Z tego przykładu widać, że źle podlewanie może mieć gorsze skutki, niż zupełne zaniebane podlewanie. Dobrze podlewanie zaszczepia się na tem, ażeby ziemię nasycić wilgocią przynajmniej na 10 — 15 cm. Zawsze korzystniej





jest podlać rzadko, a obficie, niż często, a skąpo, bo i powierzchnia ziemi mniej się wówczas zasklepia, i w gruncie wytwarza się zapas wilgoci.

To samo dotyczy polewania roślin doniczkowych; trzeba polewać je wtedy, gdy ziemia przesyca, więc w okresie wzrostu częściej, w porze jesiennej i zimowej rzadziej, ale zawsze tak obficie, żeby cała bryła korzeniowa, t. j. cała ilość ziemi, zawarta w doniczce, uległa przemoczeniu. Inaczej powierzchnia będzie mokra, a warstwy głębsze, w których najwięcej znajduje się korzeni, nie dostaną wody. I tu jednak nadmiar jest szkodliwy, więc wodę, gromadzącą się po polewaniu na spodku, trzeba zlać po upływie 10 do 20 minut, gdy ziemia wessała jej tyle, ile potrzebowała.

Ażeby się woda nie rozlewała szeroko, robimy naokoło rośliny, w pewnym odstępie od łodygi, zagłębienie rowkowate, czyli miszkę, która powinna pomieścić tyle wody, ile jej potrzeba do nasycenia ziemi wilgocią na żadaną głębokość. W ogródkach amatorskich można też otaczać całe zagony wałami niskimi z ubitej ziemi, która nie pozwoli wodzie uciekać do brzdów i utrzymuje przez dłuższy czas prawidłowy kształt zagonów.

Należy unikać polewania roślin podczas skwaru i w czasie bezpośredniej operacji słonecznej. Każda kropla wody na liściu stanowi soczewkę skupiającą, wskutek czego promienie słoneczne wypalają dziurki w liściach zmoczonych. Ponadto polanie ziemi obniża jej ciepłość, wzmagając parowanie, a tem samym wstrzymuje wzrost roślin. Wreszcie znaczna ilość wody, wylanej na rozgrzaną silnie ziemię, szybko paruje, zamiast wsiąkać w głąb na pożytek roślin.

Polewając rośliny przez rurkę (bez sitka), należy konewkę trzymać możliwie nisko, żeby woda spływała łagodnie, nie zaś spadała ze znacznej wysokości, bo wtedy ubija powierzchnię ziemi, wypłukuje dziury, obnaża korzenie, przewraca rośliny i obłamuje, albo przynajmniej zanieczyszcza liście przyskającą naokoło, zamuloną wodą.

Powierzchnowne zraszanie rano i wieczorem liści przez sitko, sprzyja bardzo rozwojowi roślin i kwiatów, ale nie zastępuje polewania.

W celu przyspieszenia rozkwitania kwiatów i zbioru niektórych, zwłaszcza wczesnych warzyw, nie należy oszczędzać pracy podlewania, które sownice się opłaca, gdyż nowalijki są zawsze pożądane.

Stan. Schönfeld

## Jakie zapasy śpizarniane można sobie ususzyć latem.

Prawie każda skrzętna gospoia stara się wykorzystać lato, szczególnie lato, spędzone gdzieś na wsi.

Konfitury, syropy, kompoty i marynaty wszelkie powszechnie są znane, mają jednak wszystkie tę wspólną wadę, że przechowane w garnkach i słojach bardzo są trudne do przewożenia, wymagają specjalnych skrzyń, opakowania sianem, słomą, workami — co jednak przy naszych fatalnych drogach, trzęsących wozach i dużych odległościach niezawsze od rozbicia i połączonych z niem strat chroni. Nie mogą oczywiście tych wybornych smakołyków zastąpić suszeniny, są one jednak w gospodarstwie domowym zimą tak pożyteczne, tak mało zajmują miejsca, tak łatwo dają się przewozić, że należy korzystać z każdej sposobności, aby się w nie jak najobficiej zaopatrzyć.

Przedewszystkiem więc suszone jarzyny. Błędnym zasadniczo jest zwyczaj suszenia ich jesienią — jest ich wprawdzie wtedy najwięcej, są duże i najtańsze, jednak nie mają już tego miodu i aromatu, co wiosenne jarzynki — Chcąc mieć naprzykład sliczny, aromatyczny koperek do potraw przez zimę całą i takąż pietruszeczkę, należy w czerwcu i lipcu zbierać piórka kopru z roślin silnych, bujnych, które jeszcze nie wykwitły i także same listki pietruszki. Koper i pietruszkę suszy się jednakowo, rozsypując je cienką warstwą na płótnach, rozpostartych w przewiewnym miejscu, w cieniu. Suszone na słońcu tracą kolor. Na noc należy je wraz z płótnami wnieść pod dach, aby ochronić od nocnej rosy. Gdy nawpół przeschną, można je ułożyć grubszą warstwą, na swobodne miejsce dokładając świeżych — zawsze jednak często przetrząsając i przewracając, aby się nie parzyły na kupie, przez co nie tylko kolor, lecz i aromat zupełnie utracić mogą.

Gdy zupełnie uschną, to jest, nawet przy lekkim dotknięciu się kruszą, należy je poprzekładać w papierowe torebki i trzymać w suchym miejscu. Gdyby nieco zwilgły, należy je wysypać na pokryte papierem blachy i wsunąć na godzin parę w piec po chlebie, lub pod blachę, po obiedzie, kiedy już ognia niema. Gdyby dłuższy czas leżały wilgotne, mogłyby spleśnieć, a w każdym razie straciłyby aromat i kolor zielony.

Najlepszym sposobem przechowania suszonej pietruszki i koperku jest skruszyć je drobno palcami, wsypać każde oddzielnie do suchych butelek, zakorkować i trzymać w śpizarni; przez lat parę przechowują się, nie zmieniając koloru, smaku i aromatu.

Zupełnie podobnie się postępuje z estragonem, mało u nas używanym — estragon używa się przy fabrykacji octu do konserw i przy robieniu różnych pikli i marynat. Młode gałązki estragonu, świeżo ścięte, suszy się rzadko rozpostarte na rozłożonych płótnach, poczem przechowuje się w suchym miejscu w papierowych i płóciennych torebkach. We Francji, gdzie kuchnia jest bardzo korzenna, estragonu używa się do różnych mięsnych sosów i potrawek, u nas wobec małego jego rozpowszechnienia — o ile ktoś nie ma zamiaru zbywać go do drogerji, kilka roślin na użytek domowy zupełnie wystarczy. Natomiast radzę zrobić duży zapas majeranku. Kiedy majeranek zaczyna kwitnąć i cały jest pokryty zielonemi pączkami, chwila jest najodpowiedniejsza do ścinania go na konserwę: Nożyczkami wycina się całe krzaczki tuż około ziemi, wiąże je po kilka nieduże pęczki, wiąże takie pęczki parami i rozwiesza je na długim sznurze, rozciągniętym w cieniu, lecz w miejscu przewiewnym. Mniejsze ilości można ususzyć, wieszając kilka takich pęczków nad blachą. Gdy majeranek doskonale uschnie, należy go wraz z całymi gałązkami popakować szczelnie w papierowe lub płócienne torebki i trzymać w suchym miejscu.

Dobrze jest też przechowywać majeranek w butelkach, jak koperek i pietruszkę — zachowuje wtedy przez lat kilka niezmienny aromat.

Nie będę tu mówiła o suszeniu ziół lekarskich, cząbrku i brunelki, arniki i kwiatu lipowego, mięty i rumianku, gdyż są to rzeczy specjalne — prowadzone racjonalnie mogą przynieść dużą korzyść materialną — wychodzi to jednak zupełnie poza ramy mojej dzisiejszej pogawędki.

Doskonale się konserwuje suszony groszek cukrowy i młoda fasolka zielona i szparagowa. Groszek należy łuszczyć dzieląc od razu na grubszy i drobniejszy, gdyż nierówne ziarenka przy gotowaniu sprawiają duży kłopot, drobniejsze są już miękkie, a grubsze potrzebują nieraz jeszcze długiego gotowania, co ujemnie na smak jarzynki wpływa. Uważać, aby



nie było strączków zupełnie dojrzałych, te odrazu usunąć należy. Można ich użyć na groch parzony w strączkach, na zielono. Groszek się opłaci suszyć tylko wtedy, kiedy rozporządzamy ogromnymi jego ilościami, gdyż z ogromnego kosza groszku mamy suszonego zaledwie parę garstek. Natomiast po namoczeniu i ugotowaniu przybywa go znowu bardzo dużo i z niedużej butelki możemy zrobić razy kilka wyborną jarzynkę. Taki więc świeżo wyluskany groszek rozsypuje się cienką warstwą na płótnie i suszy w cieniu, często mieszając, aby równo usychał. Zupełnie wysuszony zsypane się w płócienny woreczek lub papierową torebkę i tak przechowuje. Przed użyciem należy groszek zalać na dwadzieścia cztery godziny miękką, zimną wodą, a po ugotowaniu będzie miał smak i wygląd świeżego. Fasolkę do suszenia w strąkach należy brać jak najmłodszą, można używać jednakowo zielonej, jak i żółtej szparagowej fasoli. Drobne młode strąki należy oczyścić z włókien, znajdujących się po obu stronach strączka, rozsypuje się je na płótnach w cieniu, gdy nieco powędzną, należy je przemieszać, aby ze wszystkich stron równomiernie usychały.

Gdy już dobrze przeschną, można je zgarnąć w grubszą warstwę, robiąc miejsce dla innych, świeżych. Suszyć należy fasolkę, aż się stanie zupełnie kruchą, poczem zsypaną w woreczki lub torebki trzyma się ją w suchym miejscu. Przed użyciem moczy się fasolkę przez dwadzieścia cztery godziny w zimnej, miękkiej wodzie. Gdyby woda była twarda, można dodać na koniec noża sodę oczyszczoną — po ugotowaniu będzie smakowała jak świeża.

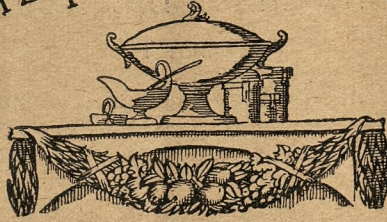
Fasolkę suszoną należy jak najstaranniej strzec od wilgoci, bardziej od innych surowych jarzynek podlega ona pleśni i traci smak i kolor. Gdy tylko strąki zmiękną, należy natychmiast wysypać je na pokrytą papierem brytwanę i przesuszyć w letnim piecu lub pod blachą po wygaszeniu ognia.

Z innych jarzynek używanych oddzielnie dobrze się suszy młoda marchew — wobec tego jednak, że jarzyna ta jest bardzo niekosztowna i doskonale się konserwuje przez całą zimę w piwnicy, lub w dołach, nie opłaci się suszyć jej oddzielnie. Natomiast ogromne usługi w kuchni oddają jarzyny i włoszczyzna, suszone mieszane tak zwane: „Julienne’a”.

(c d n.)

Pani Elżbieta.

## Przepisy gospodarskie



### GALARETY.

Najsmaczniejsze z konfitur, lecz też i najtrudniejsze do usmażenia są galarety gdyż wymagają ogromnej staranności i dokładności w wykonaniu. Są osoby, którym się nigdy nie udają, zawsze są u nich niedosmażone lub przesmażone — i w pierwszym i drugim wypadku nie ścinają się lecz pozostają płynne. Są owoce łatwo się galaretujące jak: agrest, porzeczkki, jabłka, śliwki, borówki, żórawiny; inne znowu nigdy galaretować się nie chcą, jak: poziomki, truskawki, maliny i t. p. W starych książkach kucharskich nieraz czytałam przepisy na galarety poziomkowe, wiśniowe i inne ze słodkich owoców; ile razy próbowałam je wykonać, nic mi z nich nie wychodziło. Jedynie w starej, świetnej „Kucharce Litewskiej” znalazłam sposób robienia galaret z tych opornych owoców — należy do nich dodawać połowę a nawet dwie trzecie łatwo galaretującego się soku agrestowego, wtedy te galarety, się udają. Sposoby próbowania, czy galareta już gotowa, są różne. Dochodząc już w miedniczce galaretę próbuje się, maczając w niej dużą szpilkę, jeśli się część kropelki trzyma, a nie spada, galaretką ma dosyć. Lub też w gotującej się galarecie macza się łyżkę, wyjmuje i okręca nad rondlem, poczem łyżkę opuszcza i końcem opiera o talerz, jeśli sok spływający nań nie jest rzadki, lecz galaretujący się — galaretę można zlewać do słoików. Najpewniejszy jednak sposób, prawie niezawodny jest następujący. Sok, przeznaczony na galaretkę, wlewa się do miedniczki, odmierza bardzo dokładnie patyczkiem i to miejsce na patyczku nożem zakarbowuje (nacina). Następnie się sypie cukier, starannie mięsza, przystawia do ognia i smaży. Gdy galareta już się dobrze wygotuje, należy od czasu do czasu mierzyć patyczkiem — gdy jej pozostanie tyle, ile było przed dosypaniem cukru, galareta jest gotowa należy ją natychmiast wlewać do suchych, do-

brze wygrzanych słoików. Gdy galareta stygnąc znacznie w innym naczyniu niż w tem, w którym ma być przechowana, już nigdy ładna nie będzie trzeba więc słoje na nią naprzód przygotować i gorącą wprost z miedniczki do nich wlewać. Studząc, niczem słoików nie przykrywać, gdyż opadająca para mogłaby galaretę rozwodnić i zepsuć. (To samo stosuje się zresztą do wszelkiego rodzaju konfitur studzonych bądź w miedniczce, bądź w porcelanowych czy fajansowych naczyniach, bądź też w szklanych czy kamiennych słojach). Najlepiej jest przechowywać galarety w małych słoikach — lampkach, z którymi się razem podaje do stołu i po otwarciu w jeden raz używa.

### GALARETA AGRESTOWA.

Agrest zupełnie surowy oblać wodą tylko tyle, aby objęła, rozgotować zupełnie, scedzić sok przez worek flanelowy lub gęstą serwetę, Sok ten zmierzyć, na każdą szklankę wziąć dwie szklanki cukru, kryształ. Sok wlać w miedniczkę mosiężną, zmierzyć patyczkiem drewnianym, naznaczyć nożem tę miarę na patyczku, wsypać cukier i smażyć na silnym dosyć ogniu, wciąż szumując. Dla zapachu można włożyć cienko skrajaną skórę z cytryny (w dużych kawałkach) lub parę cali wanilji, zawiniętej w muszlin, aby drobne ziarnka wanilji nie zanieczyściły galarety — jedno i drugie przed zlanie w słoiki należy usunąć. Gdy galareta się wysmaży do naznaczonej na patyczku miary, należy ją natychmiast zlać do dobrze wprzód ogrzanych słoików. Nie przykrywać niczem, zanim dobrze nie ostygnie, poczem zawiązać słoiki pergaminem lub pozaklejać krążkami pergaminu, co jeszcze lepiej od dostępu powietrza broni.

### GALARETA POZIOMKOWA LUB TRUSKAWKOWA.

Ugotować sok agrestowy, jak na galaretę. Urzeć w makutrze wałkiem świeże poziomki, albo truskawki, wycisnąć z nich sok na surowo. Na każdą szklankę takiego soku dodać drugą soku agrestowego i brać dwie szklanki cukru, kryształ. Zmieszać cukier z sokiem i smażyć, szumując wciąż, na silnym ogniu. Mieć przyszykowany zimny talerz (najlepiej jeżeli stoi na lodzie) — próbować, opuszczając nań kropkę galarety, jeśli się nie rozplywa, a ścina, miedniczkę odstawić od ognia i zaraz gorący płyn zlewać do małych słoików. Dalej postępować jak z galaretą agrestową.





## LODY KAWOWE.

Na litr (4 szklanki) śmietanki bierze się dwanaście jaj całych, na litr mleka tłustego, niezbieganego piętnaście jaj i 800 grm. (2 funty) cukru. Oprócz tego należy ugotować filiżankę bardzo mocnej, aromatycznej kawy. Jaja należy ubić z cukrem do białości — śmietankę lub mleko zagotować, odstawić od ognia. Gdy nieco przestygnie, zmieszać dokładnie z jajami i cukrem, przystawić napowrót do ognia i wciąż mieszając, a nawet ubijając trzepaczką do kremu, ogrzewać, aż sos się zaciągnie, to jest zacznie gęstnieć. Odstawić natychmiast z ognia, przecedzić przez gęste sitko, gdyż przy najstaranniejszym mieszaniu mogą się porobić małe skrzepy jaj. Dopiero teraz wlać kawę, gdyż uprzednio wlana straciłaby dużą część aromatu. Zastudzić masę w rondlu, gdy zimna, przelać do maszyny do lodów i zamrozić według wskazówek, podanych przy każdej maszynie. Chcąc przyspieszyć zamrażanie lodów i jednocześnie z a o s z c z ę d z i ć tak w tym roku kosztowny lód, należy oprócz soli grubej, której żałować nie należy, posypywać lód paru łyżkami saletry.

## LODY MALINOWE.

Kilo malin nalać pięciu szklankami (litr i ćwierć) wody, dodać kawianą łyżeczkę kwasu cytrynowego lub sok z jednej cytryny. Chcąc, aby lody owocowe były dobre, nie należy na nie żałować cukru, na tę proporcję należy wziąć conajmniej kilo cukru, a jeśli jeszcze ponadto dodać szklankę, lody będą jeszcze lepsze. Cukier wsypać do soku, zagotować raz tylko, aby aromat malin nie zginął, ostudzić w rondlu, przelać do maszyny i zamrozić jak zwykle. Wyborne są lody malinowe, jeśli brać na nie po połowie maliny i porzeczek czerwonych, mają śliczny kolor i przyjemny kwasek. Cytryna i kwasek są wtedy zbyt cenne.

## PONCZ MROŻONY.

(Punch glacé)

Otrzeć na tarce skórę z sześciu cytryn i sok z nich wycisnąć na maszynie, zalać to pięciu szklankami wody (litr i ćwierć) zagotować, przecedzić przez muszlin, aby skórka na nim pozostała, wsypać w to kilo cukru, zagotować raz jeszcze, gdyby było mało kwaśne, dodać kawianą łyżeczkę soli cytrynowej, gdyby mało słodkimi się wydawało, dodać jeszcze szklankę cukru. Ostudzić w rondlu, przelać

do maszyny i zamrozić jak zwykle. Gdy masa już dobrze zastygnie, jednak jeszcze przed wyjęciem wewnętrznego mechanizmu łopatek wlać w to pół szklanki dobrego, białego wina lub araku i spory kieliszek kirszu lub maraskina. Pokręcić jeszcze razy kilka, włożyć trzy białka, ubite na sztywną pianę, wymieszać jak najdokładniej, łopatkę wewnętrzną wyjąć, osypać lodem z solą i pozostawić godzin parę. Ponczu zupełnie mocno, tak jak lodów, zamrażać nie należy. Podaje się go w płaskich kieliszkach od szampa lub w szklaneczkach do piwa szampankami zwanych. Z tej ilości wyjdzie od 15 do 18 porcyj.

*Pani Elżbieta*

## Korespondencje działu praktycznego

*Pani A. R. w Łochwie.*

Crêpe de chine picze się w rozgotowanym, wystudzonym barskim mydle. Nie trzeć, tylko wyciskać z brudu, skoro czyste, wypłukać, wytrzeć z wody, rozciągnąć na stole na prześcieradle, nakryć drugim, jak przeschnie do połowy, prasować przez kawałek płótna. Zależy, czem jest suknia granatowa splamiona — jak ją czyścić. Tłuste plamy i od potraw czyści się najlepiej benzyną — trąc gałgankiem sukiennym tego samego co materia koloru, dopóki zupełnie nie wyschnie — inaczej zacieknie. Włosy blond ciemnieją z wiekiem — myć je trzeba często w odwarze z rumianku — zamiast mydła używać żółtka rozbitego, którym nacierać mocno skórę i włosy, a później dobrze, spłókać. Aby utrzymać blond kolor, zagotować w wodzie trochę gałązek jodłowych, przecedzić i domieszać na litr tej wody szklankę spirytusu. Tym płynem zmywać głowę.

*Amelji.*

Adres szkoły kroju. Skwarecka Mokotowska 72.

*Pani J. W. w Sosnowcu.*

Kaftanik włóczkowy dla małego dziecka czy to szydełkiem, czy na drutach zaczyna się robić od rękawka, nadając odpowiedni fason. Ponieważ za mało mam miejsca, aby dokładnie opisać robotę i nie wiem, czy ją Pani zrozumie, radzę Sz. Pani kupić: Podręcznik do trykotarstwa, wydany przez Muzeum Przemysłu w Krakowie.

Kapkę na wózek najlepiej wyhaftować na opalu lub batyście haftem Richelieu, lub powstawić kwa-

draty siatkowe i dać haft angielski. Wykończyć naokoło falbaną lub koronką. Można podbić kolorową satynką, aby było efektowniej. Można też robić kołderkę włóczkową w pasy, tunetańskim ścięciem, na którym ładnie wyszyć deseń krzyżykami.

Skórki królicze rozpina się bardzo mocno, rozciągając na deseczkach, włosem do wewnątrz. Oskrobać dokładnie z mięsa i tłuszczu, nie kalejąc skóry, natrzeć alunem z solą i wysuszyć na powietrzu, nigdy przy ogniu. Zupełnie suche skórki, zwiąć w rulony sierścią do siebie, przechowywać w suchym miejscu i strzec od moli. Chcąc, aby skórki były miękkie, trzeba koniecznie oddać je do wyprawy do specjalisty. Próbowałam różnych domowych sposobów — hodując dużo królików — wszystkie kończyły się na oddaniu do kuśnierza. Dobrze spreparowane powinny być miękkie jak rękawiczka.

*Pani S. A. z Sosnowca.*

Chloru nie powinno używać się pod żadnym pozorem do bielizny. Założnikęcie wprowadza się następującym sposobem: łyżkę oczyszczonej benzyny i 3 łyżki spirytusu zmieszać z 20-toma litrami wody miękkiej. Wypraną i wypłukaną z mydła bieliznę zanurzyć w tym płynie i bez wyżymania rozwiesić, o ile można na słońcu. Po zupełnym wyschnięciu jeszcze raz zamaczać w tym samym płynie i znów powiesić na słońcu. Bielizna nabierze śnieżnej białości i nie będzie miała żadnego przykrego odoru. Po drugim wysuszeniu dopiero farbkować i krochmalic. Białej markizety nie pierze się razem z bielizną, ale osobno w rozgotowanym, ostudzonym barskim mydle — nie trąc, a wyciskając. Po wypraniu i wypłukaniu wytrzeć z pierwszej wilgoci, następnie wysuszyć rozłożoną na prześcieradle, a jak przewiednie, zaraz prasować.

*Młodej Gosposi.*

Konwalje trzeba sadzić w ziemię piaszczysto-gliniastą, dobrze zaprawioną przetrawionym kompostem. Lubi półcień i dostateczną wilgoć.

Forsowaną z doniczek trzeba wysadzić na grędy, a w następnym roku zakwitnie.

Różnych odmian storczyków dostanie pani w zakł. ogrod. C. Ulrich, Ceglana 11.

Guzy, pojawiające się na nogach u kur, wywołane są zwierzątkiem wielkości mikroskopijnej, należącym do gromady pajęczaków, do rodziny świerzbowców.



Pasożyt ten podobny jest bardzo do świerzbowca ludzkiego, ryjącego korytarze w skórze, a wywołującego bąble lub krosty i silne, uprzykrzone swędzenie.

Świerzbowiec, pojawiający się u kur, o którym teraz piszę, wchodzi pod łuskę skórą na nodze i wysysa krew, powodując nie krosty, ale wysięki wapienne w kształcie guzów, rozsadzających łuskę skóry, przypominających swym wyglądem gruz, odbity od muru, stąd pochodzi jego pospolita nazwa wapniaka.

Zwalczając go należy czystym utrzymaniemi kurników i grząd przez częste bielenie wapnem, na 1 kubał wapna łyżkę lub dwie kreoliny, szorowanie grząd silnym roztworem ługu i smarowaniem ich kreoliną, gdyż pasożyt w szparach przeżywa. Codziennie rano i na noc posmarować nogi naftą, (której pasożyt nie znosi) łagodzą bliźny i leczy skórę. Zdzieranie guzów i strupów nietylko nie pomaga, ale nawet bardzo szkodzi, powodując rany i krwawienie.

Po zniszczeniu pasożytów powyższej wymienionymi środkami dezynfekcyjnymi, strupy po jakimś czasie same odpadną, gdy chore nogi porosną świeżym naskórkiem. Spóśób ten, podawany przezemnie w wielu gospodarstwach, został już z powodzeniem wypróbowany.

Co do choroby kaczek, o której Pani wspomina, musi to być jakaś choroba wewnętrzna, na którą trudno radzić bez zbadania. Najlepiej kazać zbadać zdechłą sztukę weterynarzowi. Jeśli Pani należy do Stow. Ziemianek — można posłać do analizy do sekcji hodowlanej przy Stow. Ziemianek.

## Opis sukien i robót do Nr. 27.

458. Palto z sukna piaskowego, lub popielatego.

459. Casaque z surowego jedwabiu koloru ivoir, obłożony plisą rezedową i przybrany żabotem i guziczkami.

460. Suknia z crêpe marocain w jednym kolorze, przybrana jedwabnymi pliszkami i haftem kolorowym.

461. Suknia z kreponu blade-lila, wykończona barwną wstążką w pasy.

462. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 8 z płócienka w kratę, wykończona ciemniejszą plisą.

463. Suknia z bawełny merseryzowanej koloru koralowego, z odciętą falbaną.

464. Suknia z crêpe georgette w kwiatowy deseń na białym tle, wykończona gładką plisą w kolorze odpowiednim do deseni. Kamizelka biała.

465. Suknia z kreponu deseniowego na gładkim spodzie.

466. Sukienka dla dziewczynki od lat 8 do 12 z białej „tricotine“, rozszyta plisą koloru electric.

467. Sukienka dla dziewczynki od lat 8 do 12 z lekkiej wełny gładkiej i w pasy na jaśniejszym tle.

468. Bluzka z surowego jedwabiu, przybrana haftowanym galonem.

469. Kapelus z miękkiego filcu, ubrany wstążką.

470. Kapelus filcowy, przybrany fantazją z piórek.

471. Kapelus z świecącego bastu, objęty i wykończony wstążką.

472. Kapelus czarny ze świecącej materji, przybrany piórem strósiem.

473. Kapelus słomkowy koloru rudego, przybrany pękiem naturalnych, żółto-białych paradizów

474. Kapelus z ciemno-zielonej materji, spięty czarną klamrą.

475. 476. 477. Desenie do wyszycia na fartuszkach dzieciennych.

478. Wzór na poduszkę — motyw zakopiański. Wielkość naturalna 26x38.

## TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. rękawów	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

## Nadesłane do Redakcji

(Za dział ten Redakcja nie odpowiada)

### PORADY KOSMETYCZNE.

PANI B. K. Najlepsza metamorfoza na piegi jest angielska „Metamorfoza Jersey“.

PANI M. z KOLA. Krem na wągrę „Ixora“ oraz do mycia proszek alkaliczny „Sweno“.

LUBLINIANCE. Przed i po umyciu posmarować twarz udelikatniającym kremem „Salome“, cera przestanie się łuszczyć. Czy wysłać?

STUD. X. Skórę głowy zwilżać co 2—3 dni ang. płynem „Bisare“, włosy przestaną wypadać i łupież zniknie.

PANI B. A. Płyn „Colinol“. Po kilkukrotnym posmarowaniu otrzyma Pani białą, matową pleć.

Listy proszę adresować: Dział kosm. Warszawa, Skrzynka poczt. 594. Na odp. 30 gr. oraz adres należy załączyć, nie zawsze bowiem odpowiedź w tych remkach da się pomieścić.

Dr. Roemer



Laboratoire des Parfums et Cosmétiques „PERFECTION“  
Varsovie — Szpitalna Nr 10 — Telefon Nr. 124 94.

### Z DZIEDZINY KOSMETYKI

**Blondynce.** Jeżeli cera jest tłusta, to do wody do mycia dodawać jedną pastylkę Alkaliczną, a prócz tego stosować płyn Pureol, który doskonale odłuszcza cerę i usuwa t. zw. wągrę. Naturalnie, zamiast mydła, używać do mycia Otrąbek Abaridowych.

**P. Julji M.** Aby zapobiec łuszczeniu się skóry i pryszczom, trzeba myć twarz ciepłą wodą z Otrąbkami Abaridowymi, które doskonale oczyszczają pory, a następnie, po wytarciu, w wilgotną jeszcze skórę wetrzeć cokolwiek nietłustego kremu Abaridowego, który odżywia tkankę i zapobiega tworzeniu się zmarszczek. Jako nieszkodliwy mogę polecić Puder Abarid.

**P. Czernik.** Opaleniznę i piegi usuwa krem Precioza. Jest to pewny i wypróbowany środek.

M-me Ercedés.

Środki tu wymienione nabywać w pierwszorzędnym perfumerjach i drogerjach. Skład główny: Warszawa, Szpitalna 10, perfumerja Perfection.